

Rok II. ŁÓDŹ  
20 września  
1959 r.

CENA 1 ZŁ  
NR 38 (82)

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

DZIS W NUMERZE:

Ziemia  
jeszcze nie  
odzyskana



W V KOLUMNIE DZIS  
PAMIETNIK SZPIEGA

Bitwa  
nad Bzurą



2 x TARGI duże i małe — str. 1, 3 i 5

To nie jest fikcyjny dziadek, jak i nie są zmyślone jego perypetie. Szedł sobie dziadek na jarmark i niósł na kiju buty. W mieście dopiero spostrzegł, że ktoś mu je po drodze ukradł. Narobił wrzasku, a ludzie go pocieszali: „Nie martwcie się, dziadku, kupicie sobie nowe”. „Za wszy kupię” — kłął dziadek. — „Żeby tego złodzieja paralusz rozniósł, żeby mu ręce uschły”. Dziadek rozpaczał „wedle zwyczaju”, ale buty kupił, miał pieniądze. Buty były dobre i tanie. Mrugnął do mnie: „Musimy je oblać, nie spodziewałem się, że taka taniocza”. Wypiliśmy. Postawiłem następną kolejkę.

Powiem: dziadek był ze mną spokrewniony. Wyznałem to nie gwoździąc ankiety o jeszcze jeden postępowy rodowód; wyznałem, ponieważ popiliśmy „co nieco”, a stopień pokrewieństwa daje gwarancję, że nie zostanie oskarżony o szkalowanie opinii dziadka i fałszowanie jego wypowiedzi. Mój dziadek nie rozeznaje się w zawilosciach gospodarki państwowej. Dla niego najważniejszą sprawą jest to, że otrzymał na rynku tanie i dobrą rzecz. Gdyby pojechał do Poznania, zdradziłby się mocno, że takich rzeczy, których on tu, w swoim Geesie i naj-

TADEUSZ PAPIER



bliższym miasteczku nie ogląda, jest więcej. Zdziwiłby się również, że niektóre z nich są zamknięte przed nabywcą grubą szybą wystawową. Buty jednak przełamały naszą tradycyjną bierność czy też nieumiejętność kupiecką. Tanie buty znalazły się na rynku. My z dziadkiem nie bardzo zdawaliśmy sobie spra-

wę z tego, dlaczego dawniej takich butów nie było, a teraz są. Dlaczego zakłady zostały pobudzone do produkowania tanich i ładnych rzeczy? Zahaczyliśmy o radę narodową. „Dlaczego tak się dzieje?” Przewodniczący mówił nam o „skoku” produkcyjnym. Najpierw była ilość, a potem jakość. Dziadek ki-

wał głową. Powiedziano nam, że niektórym zakładom obniżono plany wartościowe oraz planowaną akumulację, na przykład przemysłowi obuwniczemu ministerstwo obniżyło planowaną akumulację o 270 milionów. I oto efekt: prawdziwa powódź ta-

(Dokończenie na str. 5)

Rozpoczynamy wielkie śledztwo pod hasłem  
— KAŻDY ŁÓDZIANIN może być  
SHERLOCKIEM HOLMESEM

TELEGRAM

STEFAN  
BRATKOWSKI

„Dookoła świata” Warszawa

BIERZEMY UDZIAŁ W ŚLEDZTWIE

Redakcja „ODGŁOSÓW”

Szczegóły  
patrz str.

10

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI i ANDRZEJ MAZUR

## PAJĘCZNO

anegdota  
i  
rzeczywistość

Jeden letnik — ziomek, taki co to nad Adriatyk i Balaton, ani nawet nad rodzime morze nigdy nie pojeździe, tylko całe życie, z roku na rok patriotycznie w Warcie nogi moczy, powiedział:

— Panowie! Co wy tam po zagranicach szczęścia i tej niby egzotyki szukacie. Pod Działoszyn jedźcie. Rzeczka pięk-

wzgórkach kominy dzień i noc dymią. Białą drogą w te i wefte ciągną kurzą. Z przyczepami a jakże i z ładunkiem, z tabliczkami, że czeplanie się grozi...

Całą dobę płynie węgiel gdzieś ze Śląska na Pekaesach, na furmankach kamień z okolicy, a z powrotem wapno wagonami w Polskę. Szydliż skromny: połowy wypał. Za szydliżkiem spółki gości z Krakowa, Katowic, Wielunia. Powiadają ludzisk-

## Rezerwat kapitalizmu

na, piasek jak w tej Łebie, co ją opisują i filmują, a nad rzeczką i za rzeczką cuda się dzieją.

Całe wsie uciekają, jedna już wybyła. Chłopi ziemię porzucają, że pan Prus Bolesław się w grobie przewraca. Miasto obok obumiera, bo mu potop urządzić mają. Ech tam miasto... Dziesięć chałup w kupie, dziesięć stodoł w rzędzie i to cała ichnia Piotrkowska. A pod miastem na

ka, że tam różne inżynierzy i adwokaty „kempinują”. Prywaciarze kabzę nabijają, kamienice stawiają i taksówki w ruch puszczają. Kamień tan jak barszcz, robocizna za pół darmo, praca ciągła, na dwie zmiany, wielki ruch w interesie, kapital...

Rzekłszy to nasz rozmówca-inspirator zreferował kalkulację cud-interesu i namawiał zacząć do spółki. Tedy mu czmychnęliśmy, weszac byznies. Spółkę to my sami potrafimy zrobić.

2

Na ziemię obiecaną wjechaliśmy od Wielunia drogą gładką, smółkową pierwszej klasy. Pejzaż w faldy, malowniczy, o czym wiedzą tylko prawdziwi turyści i harcerze. Niedaleko Działoszyńska obok polskiej drogi, na wysokim brzegu nadwarciańskim wapienniki — w rzeczy samej — dymią szatańsko.

Podchodzimy pod najwyższy komin — rozczarowanie.

„Pajęczanckie Przedsiębiorstwo Przemysłu Terenowego”. Jak już państwo takie coś robi, to zapewne z tym byzniesem przesada. Ale nuż penetrujemy teren i zasięgamy języka. Jakoż i wytrwałość nasza jest wynagrodzona i czegoś to się dowiadujemy:

— takie państwowe wapienniki są w powiecie dwa i wypalają po 30 ton wapna na dobę, a prywatnych jest kilkadziesiąt o produkcji na dobę 10 — a kto wie może i więcej — ton każdy;

— wypał wapna to naprawdę złoty interes, bo na jednej tonie można czysto zarobić ca 100 zł, co latwo

obliczywszy — daje 30 tys. miesięcznie na jeden komin;

— właśnie wczoraj trzeba było wygasić dwa pomocnicze piece (w tym państwowym wapienniku), bo prywatna konkurencja podbiła cenę i podkupiła wagony na kole, a wapno leżeć nie może, bo szlag je trafia od powietrza i wody, zupełnie jak w litanii;

— lat temu dwa pewien miejscowy dyrektor ciepłą rączką odpalił kawał państwowego kamieniołomu pod prywatny piec, za co był od śladką premiowany;

— robota przy piecu jest mordercza (pył, dym, „gorąca” — rozumiecie), ale wokół tyle biednych wsi, iż na każde zawołanie wali chłopów siła (robocza) jak na sumę.

Dużo rzeczy jeszcze słyszeliśmy. Wszystko zaś miało taki walor autentyzmu, iż spieszyliśmy do pobliskich Bobrownik już najmować rzeczoną siłę.

Dalszy ciąg  
na str.

9



## Nasza szkoła

Człowiek człowiekowi nie jest równy. Przynajmniej w sensie szczegółowym. A więc minister nie jest równy ministrowi, lekarz lekarzowi, zezowaty zezowatemu, garbaty garbatemu, dalej nie jest równy durniowi, złodziej złodziejowi, a kumoter kumoterowi.

Spośród bogatej skali wielkości rozmaitych ludzkich nierówności wybieram dla felietonowych celów kumotera. Czynię to zresztą nie bez kozery.

O ile nie wszyscy ludzie są ministrami, lekarzami, zezowatymi, garbusami, durniami, złodziejami itd., o tyle wszyscy jak jeden mąż, plecy w plecy uprawiają w sensie zarówno czynnym jak i biernym kumoterstwo.

Sklonności kumoterskie są immanentnie związane z naturą człowieka, zarówno tą odwieczną, jak i tą społeczną. Człowiek rodzi się kumotrem i uprawia kumoterstwo już wtedy, kiedy przedkłada pierś matki nad każdą inną, co mu zresztą z czasem przechodzi.

Cecha pn. „kumoterstwo” zespólna z każdym ludzkim egzemplarzem nie jest rzecz tak strasznie zdrożna. Folgowanie jej nie jest powodowane brzydką pobudką łamania ideału stosunków międzyludzkich, nawet wów-

czas, gdy założymy, że jest tu co łamać. Jednym słowem kumoterstwo jest rzeczą naturalną. Żadna zaś rzecz naturalna nie może być absolutnie zdrożna.

Nikt z Was nie lubi kumoterstwa. Wieści o nim i te wyczytywane w prasie i te, które dobiegają zewsząd — napawają Was świętym oburzeniem. Tak długo wszakże, jak długo Wy nie korzystacie z dobrodziejstw tej zwyczajowej instytucji, lub nie macie satysfakcji wyśpiwania w charakterze szafarza takowych dobrodziejstw.

Kumoterstwo często tworzy się, kształtuje, na podłożu krystalicznej uczciwości.

Przypuśćmy, że Ty, Czytelniku, zostajesz dyrektorem jakiegoś biura. Przypuśćmy, że masz dobrać sobie współpracowników. Skrzykujesz, zgodnie z panującym zwyczajem znajomych i znajomych Twoich znajomych, po czym szczerze obdziałasz ich elatami. Dlaczego tak czynisz? Dlaczego tak czynisz, skoro zakładamy, że jesteś człowiekiem — kryształem i dobro powierzonej placówce stokrót bardziej leży Ci na sercu i wtróbie niż dobro znajomych i ich znajomych.

A po prostu dlatego, że swoich znajomych znasz, wiesz co są warte i do czego mogą się przydać. Zaś nieznajomych nie znasz, nie wiesz co są warte i na ile,

tudzież do czego mogą się przydać. Cóż zatem dziwnego i złego w tym, że prowadzisz taką a nie inną politykę personalną? Czy fakt, że wśród Twoich nieznajomych na pewno jest więcej ludzi utalentowanych niż wśród znajomych (a to dlatego, iż więcej masz swoich nieznajomych niż znajomych)? Bzdura.

I kto tu na Ciebie ma rzu-

Występując tedy przeciwko hasłu walki z kumoterstwem wnoszę hasło walki z patologią kumoterstwa.

Bo oto nasz dyrektor przyjąwszy do pracy znajomych ich znajomych faworyzuje tych pierwszych, traktuje obojętnie tych drugich, a szykanuje tych, którzy znajomy mi bądź znajomymi znajomych nie są. Oto już jego znajomi rozprawiają się z

że w socjalizmie nie ma już protekcji, ale na szczęście zostało kumoterstwo, o tyle na następnym etapie znajdziemy sobie może nowe słowo. Zjawisko zmianom nie ulegnie.

Natomiast jest rzeczą możliwą oddzielenie od podstaw normalnego kumoterstwa, na które nie można albo nie ma sensu się burzyć (byłaby to bowiem obłuda) — wierzchołka kumoterskiej patologii. I wytworzenie klimatu społecznego potępienia równającego patologicznego kumotera z kieszonkowcem. (Kieszonkowiec jest to dno złodziejskiego zawodu). Jest to o tyle potrzebne, że w sytuacji, w której całe kumoterstwo wsadza się do jednego worka, deklaracyjnie potępia (robiąc przy tym wielkie perskie oko jak stąd do Teheranu) a zarazem praktycznie i moralnie sankcjonuje — dochodzi ono do wynaturzeń wręcz nieprawdopodobnych.

Mam na myśli drobną ni- by afere opisaną w łódzkiej prasie, kiedy to młoda lekarka wystawiła zlecenie na samolot sanitarny dla przewiezienia z wczasów do Łodzi swojej matki i jakiegoś dwunastolatka.

Trudno, by w naszym kraju jeżeli się komuś włos na wieść o jakimś kumoterskim wybruku. Historia i terazniejszość zna multum kumoterskich wypadków związa-

nych z większą i bardziej bezpośrednią krzywdą, czynioną społeczeństwu bądź określonym ludziom.

To co uderza w tej sprawie, to fakt, że przekroczone tu granice, już nie społecznie przyjętego kumoterstwa, ale społecznie przyjętej bezczelności.

Samolocików sanitarnych jest niewiele. Służą one do przewożenia ludzi, których życiu zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo.

W społeczeństwach cywilizowanych istnieje nawyk, iż w pewnych szczególnych wypadkach w zasadzie ustają działania bodźców osobistych, dotyczących drobnych interesów jednostki. Jesteśmy gotowi linizować kogoś, kto na przykład, nie zlapie człowieka lecącego z rusztowania li tylko dlatego, że mu się nie chce schylić.

Miał tu miejsce przekroczenie takich prymitywnych zasad. Dokonał tego lekarz, pisana już, a nie społecznie przyjęta umowa obowiązująca do pewnej specyficznej postawy wobec spraw ludzkiego zdrowia i życia.

Stąd waga owego wypadku jako sygnału. Sygnału, że między kumoterstwem a kumoterstwem trzeba przeprowadzić rozróżnienie. Po to, aby w przyszłości szlachetna i tradycyjna instytucja nie wydawała swych jadowitych owoców.

BELFER

## PO ZNAJOMOŚCI...

cać kamieniem? Kto w tym kraju w ogóle ma moralne prawo rzucać kamieniem w kumoterstwo? Kto zeń nie korzystał? Chyba noworodek zmarły przy porodzie. Ale i to nieprawda. Na pewno pochowano go „po znajomości”.

Nie powiadam, że kumoterstwo ma tylko tak niewinne jak przytoczone przejawy. Uchowaj Boże. Twierdząc natomiast, że jest zjawiskiem obiektywnym, takim jak fakt, że słońce świeci. I że slogan walki z kumoterstwem, bez ściślejszej precyzacji o co chodzi, jest potrażaniem motyką w kierunku świecącego słońca.

jakimś nieznajomym, który trafił przypadkiem do tego interesu. Oto cała biurowa społeczność przybiera strukturę klikową. Czyli biuro już normalnie prosperuje — krótko mówiąc.

Patologia kumoterstwa rozpoczyna się tam, gdzie jego wynikiem jest krzywda człowieka. To każdy jakoś wyczuwa. Mimo to, nasza, jakże skomplikowana, moralność subiektywna uznaje za dłaństwo wyciągnięcie kiedzie w pracy stu złotych, natomiast za rzecz normalną — gwizdnięcie mu przy pomocy intryg awansu za 300 np. złotych miesięcznie.

Kumoterstwa nie nie wykorzeni. O ile powiadało się.

## BIAŁE PLAMY

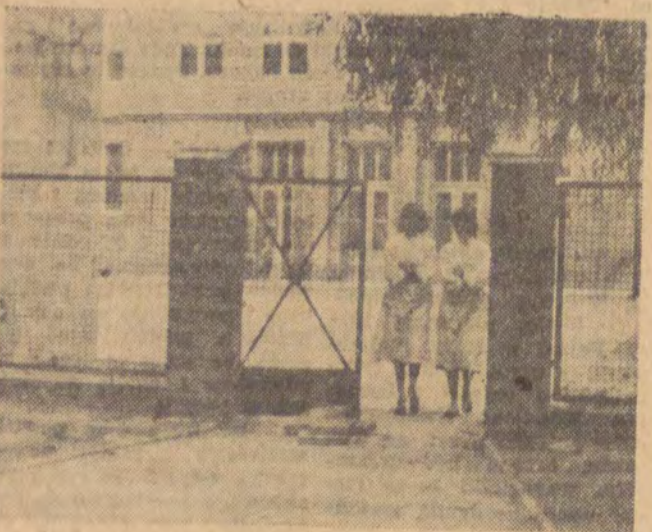
TEKST:  
Henryk Anders  
ZDJĘCIA:  
Janusz Skoszkiewicz

# ZIEMIA

## jeszcze nie ODZYSKANA



Przed sklepem na Sikawie



Szkoła przy ul. Szpitalnej



Szkoła na Sikawie

Pięć szos i dwie przełotowe arterie komunikacyjne łączą śródmieście ze wschodnimi peryferiami Wielkiej Łodzi. Granicę krajobrazową miasta zamyka z tej strony ulica Kopcińskiego. Dalej, za pasmem pól i ugorów...

Tak informuje najnowszy, wciąż aktualny przewodnik.

W terenie osiem linii tramwajowych urywa się nagle, na tej samej niemal szerokości geograficznej. Dwie tylko przedzierają się dalej, na Widzew.

Kiedyś leżał Widzew za lasami i borami, ale lasy wytrzebiono w okresie międzywojennym i tylko park Trzeciego Maja pozostał jeszcze na pamiątkę po dawnej puszczańskiej przeszłości.

Widzew. Pamiętacie „Stare i nowe”. Stare — walkę z Kunizerami, Heintzlami, Konami o prawo do człowieczeństwa, tradycje rewolucyjne. Czerwony Widzew. A nowe?

Dla dwunastu wielkich i średnich zakładów przemysłowych, daje chleb przyjeźniom rąk do pracy. W dziedzinie zatrudnienia nie tylko swoich, daje chleb przejeźniom. Ale nie bijmy przedwcześnie okłasków. Musi — bo nie ma mieszkań.

Gęstość zaludnienia w śródmieściu przekracza liczbę 20 tysięcy osób na kilometr kwadratowy, przeciętna dla całej Łodzi wynosi ponad 3 tysiące. Na Widzewie, na obszarze 4681 hektarów mieszka około 40 tysięcy ludzi — 850 na kilometr. Budownictwo mieszkaniowe to problem, który nie daje spać radnym, wyczerpuje wygospodarowane fundusze zakładowe przedsiębiorstw,

Bardzo malownicze są stare domki tkaczy widzewskich. Ale to już tylko skansenowy zabytek, park skansenowski. Człowiek współczesny tak mieszkać nie może.

W miarę swoich możliwości przemysł widzewski łoży hojnie pieniądze na zdrowie, kulturę fizyczną, na oświatę dorosłych — będzie jeszcze o tym mowa. Ale przemysł, i słusznie, interesuje się przede wszystkim własnym zapleczem, najbliższym sobie rejonem. A dzielnica Widzew to kilka odseparowanych rejonów o różnej specyfice i odmiennych problemach bytowych. To w rzeczywistości dwa miasteczka, dwie osady i kilka wsi.

Najpierw u wlotu — u wylotu, jak kto woli — rejon ulicy Kopcińskiego trzy zakłady przemysłowe, w tym jeden duży — Wytwórni Wódek, szpital, liceum ogólnokształcące, jedyna szkoła średnia w dzielnicy, cztery szkoły podstawowe, dwie dla pracujących, przedszkola, ognisko „muzyczne”. Rejon przylegający do śródmieścia i ku śródmieściu ciągnący, związany z nim wszystkimi węzłami — położeniem, liniami komunikacyjnymi, interesami. Stąd prawie tak samo daleko do Piotrkowskiej jak do właściwego Widzewa. W pobliżu nowy międzyzakładowy dom kultury przy ulicy Przedzalnianej, dla pozostałych rejonów Widzewa raczej niedostępny, na miejscu biblioteka, uniwersytet powszechny, parę instytucji i zakładów usługowych. Ośrodek nie prawie nie mający wspólnego z dzielnicą — przydzielony administracyjnie, żeby trochę wspomóc ubogiego kre-

wnego. To jeszcze nie Widzew.

Właściwy Widzew — Centralny — stanowi małe uprzemysłowione miasteczko, z gęstą siatką ulic i zaułków — Armii Czerwonej, Szpitalna, Niciarniana i przecznice. Domy „familijne” i małe drewniane po obu stronach toru kolejowego. Tu koncentrują się dzielnicowe urzędy, pięć wielkich zakładów przemysłowych nadaje ton. I znowu: ośrodek zdrowia, szkoły, przedszkola, biblioteka, pięć świetlic — przyjrzymy się im jeszcze — jedyne w dzielnicy kino, jedyna kawiarnia, stadion sportowy, załazek parku.

Dzięki swemu położeniu, dzięki tradycji może, ale głównie chyba z uwagi na uprzemysłowienie — Widzew Centralny cieszy się — na razie tylko „in spe” — szczególnymi względami władz dzielnicowych i miejskich. Czego tu (ho, ho) nie zaplanowano.

A więc — budoje się imponująca szkoła tysiąclecia, nowa i piękna przychodnia lekarska. A więc do 1965 roku ma być zbudowany: wielki Dom Towarowy, Dom Sportowca, ogromny sześciokondygnacyjny Dzielnicowy Dom Kultury przy ulicy Tunelowej, dom reprezentacyjny, z kawiarnią, kinem i wszystkimi szyskanami.

A więc — dogadają się miejscowe dyrekcje fabryk i postanowiły wystawić przy ulicy Armii Czerwonej 79, w sąsiedztwie Istniejącego klubu, reprezentacyjny międzyzakładowy dom kultury z kawiarnią, z kinem i z wszystkimi szyskanami. Projekt jest podobno bardzo awansowany.

Zażenowany czuje się nawet przewodniczący DRN, Czy nie za wiele szczęścia naraz?

Bo weźmy takie „zapomniane przez Boga i ludzi” osady, jak Zarzew lub Sikawa. Ładnie tam nawet, tylko, co za życie?

— Był pan na Sikawie? — zapytano mnie w Inspektoracie Szkolnym.

— Nie byłam.

— Przy ulicy Janosika 153, przy straży ogniowej jest świetlica. A przy świetlicy działa Towarzystwo Miłośników Kultury.

Jedziemy na Janosika.

Owszem, w podwórzu za remizą strażacką widać przez okno parę stołów i ławy. Na zewnątrz, przy furtce ogłoszenie o wieczorku tanecznym, zresztą bez daty. Zapowiada kwintet jazzowy i bufet na miejscu.

W ogrodzie, gdzieś koło wieży ćwiczeń, ujadają pies na łańcuchu. Poza tym — żywego ducha. Ani strażaków, ani miłośników kultury.

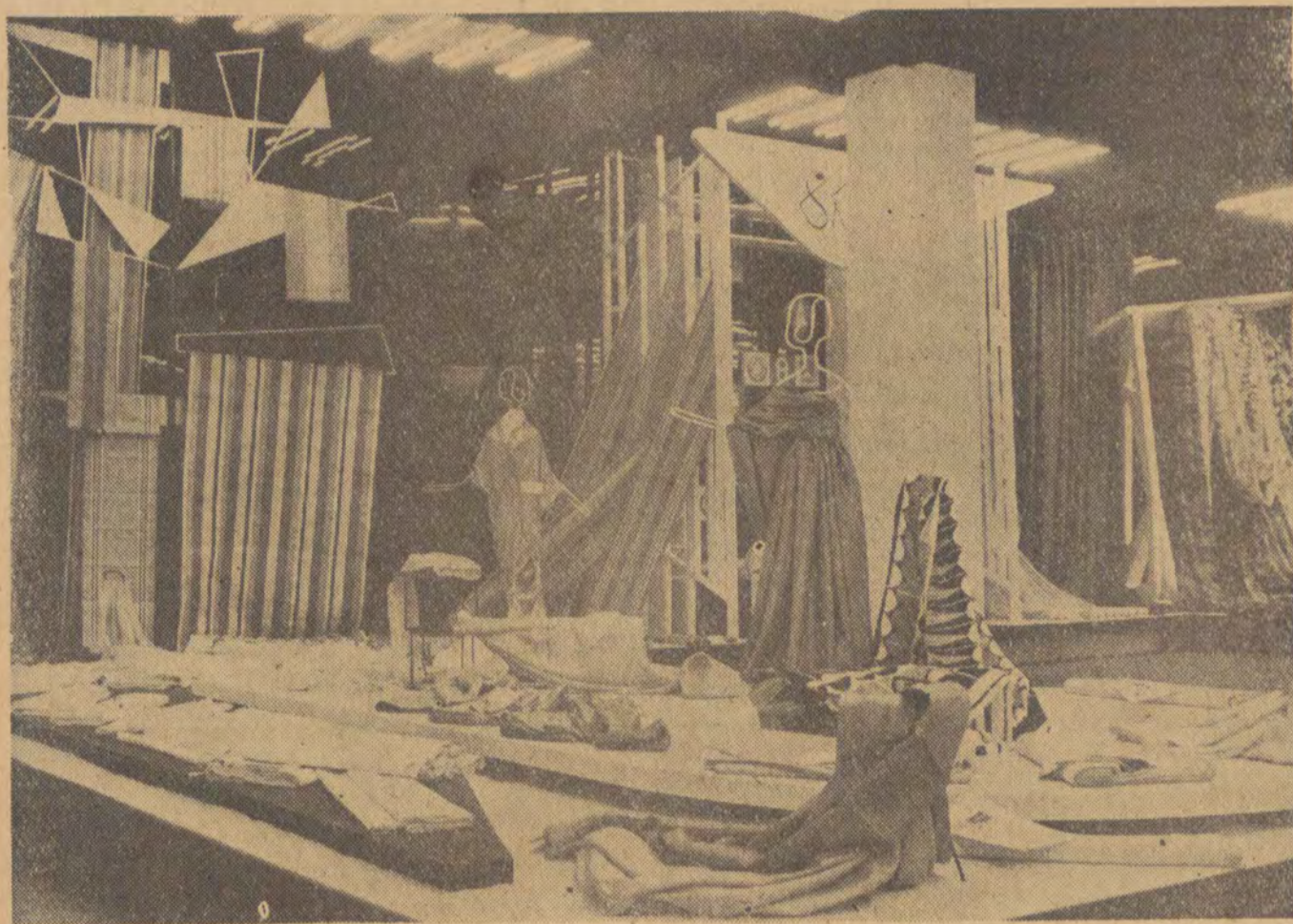
Coś się tam i robi, uświadamiają mnie w sąsiedztwie. Jest jakiś zespół — teatralny czy śpiewaczy. Trudno powiedzieć, kiedy się schodzą. A tak to bywają zabawy. Nawet nie można narzekać „elementy” — teraz zjawiają się rzadziej. Można nawet chodzić tu obok, do parku.

— Ale dlaczego nie ma dyżurnego strażaka? A jakby się paliło?

Dalszy ciąg na str. 7



# Optymistyczne



Jakkolwiek optymizm raczej kojarzy się z wiosną, niż z jesienią, to jednak zwiedzając otwarte 8.9 w Poznaniu Targi Krajowe trudno oprzeć się wrażeniu, że sygnalizowana już wielokrotnie zmiana na lepsze zarówno w przemyśle jak i w handlu zaczyna być zjawiskiem masowym. Skończył się okres „lżania cukierka przez szybę”, oglądania na MTP mebli i gatunków wyprodukowanych tylko na pokaz i kiedy na pytanie gdzie i za ile dany towar można kupić, odpowiadano wzruszeniem ramion. Wystawione artykuły dokładnie są zaetykietowane, wiadomo kto je wyprodukował i jaka jest ich cena detaliczna. Niemal nadzwyczajnie odczuwa się, że jeżeli danego artykułu nie można jeszcze na miejscu zakupić na doskonale zaopatrzonym kiermaszu, to z całą pewnością najpóźniej na wiosnę ukaże się on na półkach sklepowych.

W pawilonie Przemysłu Włókienniczego zwanym wśród pań „Palacem Westchnień” (ach, kiedyż te cuda będzie można kupić w sklepie) powszechną uwagę śmiała, nowoczesną ekspozycją zwraca stoisko Przemysłu Lniarskiego. Nawet zagorzali przeciwnicy nowych kierunków w plastyce przekonać się mogą, że to co wydaje się mało strawne na wystawie malarskiej, może być bardzo atrakcyjne we wzornictwie przemysłowym czy architekturze wnętrz.

## Jesienne Targi Krajowe



Bardzo surowym cenzorem włókienniczy był minister przemysłu lekkiego Stawiński, który skrupulatnie sprawdzał jakość każdego eksponatu nie szczędząc pochwał jak i uwag krytycznych.



Stoiska kiermaszowe zaopatrzone są tak, że naprawdę jest w czym wybierać. Nawet przy zakupie pralek (tak to nie bajeczka) jedyny problem stanowi wybranie odpowiedniego modelu, bo można nawet pogrymasić odnośnie koloru.

Zdjęcia:  
Miłosław  
Petruska

Nie brak również ciekawostek, które potrafią stać się sensacją sezonu. Hula-hoop poszło już w zapomnienie, więc za przykładem Paryża lansuje się wirujące talerzyki (dla bezpieczeństwa i oszczędności produkowane z mas plastycznych). Pod okiem tak miłego instruktora z łatwością można sobie przykwoić arkana tej ekwilibrystyki.



Sceneria pozostała niezmieniona — te same pawilony jak na Międzynarodowych Targach — atmosfera jednak panuje zupełnie inna. Znikła konspiracyjność międzynarodowego wielkiego businessu. — Giełdy towarowe pracujące pełną parą wykazują, że Polacy w handlu temperamentem nie ustępują Arabom czy Ormianom.







Kampania 18 dni nazwali Niemcy wojnę z Polską, 19 września bronili się jeszcze Warszawa, Modlin, Hel. Walczyli niewielkie, zdeterminowane oddziały, już po partyzancku, niektóre przez cały październik. Jakąkolwiek poważniejszą akcję wykluczał nie tylko fakt rozbicia wszystkich większych jednostek polskich, ale również brak jednolitego dowodzenia siłami zbrojnymi: rząd i dowództwo armii uciekły do Rumunii.

Pytanie: „dlaczego tak szybko przegraliśmy” sta-

wiane było na okoliczność każdej rocznicy września. Odpowiedź znamy: byliśmy słabi. Stwierdzenie jest oczywiste ogólne. Przez słabość rozumiano zacofanie przemysłowe Polski, wadliwie zorganizowaną — a właściwie zdeorientowaną — dyplomację. Przylatcano również ogromną przewagę niemieckiej armii. Otóż to ostatnie stwierdzenie wymaga krótkiego omówienia.

Niemcy nie posiadali nad nami tak „druzgocącej” przewagi, jak zwykliśmy w to wierzyć. Pobili nas przede wszystkim swą nowoczesną, niemieszczącą się w głowach naszych sztabowców, strategią.

Proces norymberski ujawnił, że przeciw Polsce użyli Niemcy 52 dywizji. W tym 4 pancerne (ok. 1.700 czołgów), 6 zmotoryzowanych i 1 kawaleryjska (!). Podstawowa masa piechoty — 41 dywizji — zmotoryzowana

była w stopniu minimalnym, korzystała przede wszystkim z konnych taborów i konnych zaprzęgów artyleryjskich. Uzbrojenie indywidualne piechoty było niezbyt dobre, jak i jakości sprzętu. Dwie skierowane przeciw Polsce floty powietrzne liczyły ogółem 2.050 maszyn bojowych. (Chętnie przesadzaliśmy tę liczbę nawet do 7 tysięcy!).

Armia polska miała 40 dywizji piechoty (30 pierwszego rzutu i 10 rezerwowych), 22 brygady kawalerii (wypożyczone i utrzymywane przez wiele lat tych brygad, pozostawiały na kompletnie zmotoryzowanie 10 dywizji), 2 brygady motorowe. Cała prawie siła pancerna (ok. 250 czołgów i 600 samochodów pancernych) przydzielona była pojedynczymi plutonami do korpusów piechoty, a lotnictwo, w sile 420 maszyn bojowych — dywizjami do poszczególnych ar-

mił. Naczelne dowództwo nie posiadało żadnego, specjalnie wyodrębnionego, szybkiego odwodu, pozostawiając do swej dyspozycji tylko 90 samolotów najnowszych typów (dały się one zresztą dobrze we znaki niemieckim kolumnom pancernym pod Piotrkowem).

Bezwzględny stosunek liczebny żołnierzy był nieco korzystniejszy dla nas. W wojaskach technicznych wyrażał się na naszą niekorzyść następująco: lotnictwo 5:1, broń pancerna 4:1, broni motorowa (nie licząc masowo użytych przez Niemców kompanii motocyklistów jako oddziałów rozpoznawczych) 6:1. Dodatkowa przewaga niemiecka tkwiła ponadto w braku po stronie polskiej ciężkiej broni przeciwlotniczej i przeciwpancernej.

Żadna kalkulacja nie brała w rachubę niemieckiej strategii, Polska — i nie tylko polska — myśl wojenna,

wierna wzorom 1914—1918 roku, utworzyła linię obrony dość równomiernym rozmieszczeniem sił wzdłuż granicy. Ta granica — zważywszy aneksję Słowacji — liczyła wówczas blisko 2.000 kilometrów. Rozproszenie było tak duże, że nacierającym koncentrycznie Niemcom przerwanie frontu nie sprawiło większej trudności. To było pierwsze zaskoczenie.

Drugim zaskoczeniem strategicznym był sposób, w jaki Niemcy to przełamanie frontu wykorzystali. Sztab polski dopuszczał jedynie możliwość tak zwanego „powodzenia wszędy: z powodu przełamania frontu oddziały oskrzydłone muszą się wycofać kilkanaście kilometrów na nową linię obrony. Niemcy stosowali wyłącznie „powodzenie w głąb”. Ta koncepcja była jak najbardziej surowo oceniana w doktrynie wojskowej. Uznawano ją za zabójczą ryzykowną dla

atakującego. Niemcy potwierdzili jej zabójczość, ale dla „atakowanego”.

Skutek tej strategii był taki, że na każdym kierunku natarcia Niemcy mogli sobie zapewnić dwukrotną i większą przewagę w ludziach, nie licząc sprzętu. Natomiast co najmniej trzecia część naszej armii, nie mogąc wejść w kontakt z nieprzyjacielem, wycofywała się od pierwszego dnia, tracąc siły moralne i fizyczne w forsownych marszach.

Ten czysto strategiczny obraz kampanii nie uwzględnia wyjątkowej w dziejach wojen indolencji naczelnego dowództwa. Od pierwszej chwili nie zdawało ono opamiętać chaosu, pogłębiało go nawet sprzecznymi rozkazami, poleceniami ignorującymi rzeczywistą sytuację na froncie. To już był nie tylko brak szczęścia i nie tylko odmiennosc strategicznej myśli... (O. L.)

## Z archiwum łódzkiego Gestapo (II)

Jeszcze nie uciśnięto w naszym mieście dudnienie dział, a już w gmachu Gestapo władze bezpieczeństwa przystąpiły do pracy nad częścią archiwum pozostawionego przez uciekających pośpiesznie hitlerowców.

Lekcja września 1939 r. była zbyt pouczająca aby zlekceważyć konieczność wytrzeźwienia do końca macek i stłuki konfidencyjnej, którą Niemcy posiadali w Polsce przed wojną, a w okresie okupacji rozbudowali do monstrualnych rozmiarów.

Przed władzami bezpieczeństwa stało gigantyczne zadanie — setki konfidentów, szpicliów i zdrajców w obawie przed karą uciekało, zmieniało nazwiska. Na dodatek pozostawione archiwum było niepełne. Na szczęście jednak pół roku po zakończeniu wojny żołnierze radzieccy znaleźli w jednej z piwnic berlińskich resztki dokumentów łódzkiego Gestapo i przekazali naszym władzom.

W archiwum łódzkiego Gestapo znaleźć można wiele ciekawych spraw, świadczących o zajęciu, prowadzonej w niezwykle trudnych warunkach walce podziemia z okupantem. Historia łódzkiego ruchu oporu nie obfituje w wyjątki, charakterystyczne dla Warszawy. Niemniej jednak udało nam się znaleźć kilka ciekawych spraw, będących wyjątkami w historii walki z okupantem.

Publikując je chcielibyśmy chociaż w części uczcić bohaterstwo walczących oraz przypomnieć okrucieństwo Gestapo, gdyż są rzeczy, których nie wolno nam zapomnieć.

Leży przede mną kilkanaście zniszczonych kartek. Dokumenty, które z obrzydzeniem bierze się do ręki. Wszędzie raz i w oczy czerwony stempel — „Geheim”.

Są to meldunki konfidenta, który w kartotece Gestapo posiadał numer ośmiastający V-118.

V-118 melduje...

Na niektórych kartkach nazwiska są podkreślone czerwonym ołówkiem i obok nich krótka notatka — a reszta... „Auschwitz... zastrzelony w czasie ucieczki...”.

V-118 był cenionym konfidentem, czego najlepszym dowodem był fakt, że kontaktował się z nim sam Jürgen von Tesmar, szef kontrwywiadu łódzkiego Gestapo.

Obaj kontrahenci byli zadowoleni z siebie i z pracy. Tesmar miał zresztą szczególny powód do dumy, gdyż właśnie przy pomocy V-118 rozpracował w Warszawie część góry organizacyjnej wywiadu ZWZ, co zostało odpowiednio ocenione przez R.S.H.A. (Reichssicherheitshauptamt — Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie). W jaki sposób do tego doszło?

W 1941 r. Gestapo wykorzystywało konfidenta nazywanego pseudonim „Janusz” (nazwisko nieustalone, zginął w 1943 r.). Był to młody architekt, mający duże znajomości wśród łódzkiej inteligencji. Po pewnym czasie zameldował, że ma kontakt z grupą wywiadu organizacji podziemnej, ale nie posiada większych możliwości rozpracowania tej grupy. Maksymalne wykorzystanie możliwości „Janusza” pozwoliło Tesmarowi na ustalenie kontaktów organizacyjnych grupy z Warszawą i Pomorzem. Aresztowany został kurier pomorski, przebywający służbowo w Łodzi. Po intensywnym śledztwie kurier podał kilka nazwisk z Grudnia-

## V-118 melduje...

dza oraz ujawnił sposób kontaktowania się w Łodzi z szefem wywiadu na Wartheagu. Rozpoczęto obserwację, która w efekcie pozwoliła na aresztowanie „Grota” — szefa propagandy na Wartheagu.

„Grot” został zatrzymany z materiałami, za które groziła kara śmierci. Była jedyną możliwością uniknięcia tej ewentualności i „Grot” skończył z nim. Zaproponował współpracę z Gestapo. Na dowód swej prawdomówności podał nazwiska członków grupy w Łodzi, Zgierz, na Śląsku, oraz wskazał miejsce melinowania drukarni organizacyjnej na Cmentarzu Katolickim na Dołach, oraz magazyn broni. Gestapo według tych danych przeprowadziło akcję — wszystko zgadzało się. Nazwiska członków grupy też były prawdziwe, podawał już o nich „Janusz”. Prawdomówność „Grota” nie ulegała wątpliwości, I wtedy w umyśle Tesmara powstał drapieżny plan wetknięcia „Grota” na szczebel centralny organizacji. Posiadając wtyczkę w sztabie można nie tylko rozpoznawać działalność i w ten sposób zapobiegać zbrojnym akcjom, ale także oddziaływać na linię polityczną organizacji, do pewnego stopnia ograniczać działalność wymierzoną przeciw Trzeciej Rzeszy.

„Grot” (prawdziwe nazwi-

ska — Zagórewicz) podpisując zobowiązanie o współpracy, otrzymuje numer ośmiastający V-118.

Teraz trzeba upozorować wydostanie się Zagórewicza na wolność. Biorą go do auta i wiozą pod Radom. W lesie wysadzają, kilku gestapowców bije go pistoletami niemal do utraty przytomności. Następnie zakładają mu prowizoryczne opatrunki na poranione ciało. V-118 otrzymuje polecenie udania się do Warszawy i nawiązania kontaktu z górą organizacyjną.

Na murach miast pojawiają się listy gończe z fotografią i portretem Zagórewicza. Wyznaczono wysoką nagrodę za schwytanie zbiega — 10 tysięcy marek.

Niedługo po „ucieczce” V-118 przysłał do Tesmara

list, że ma już kontakt z Warszawą i tylko czeka na lewe dokumenty, które ma mu przysłać organizacja. Później nastąpiło kilka tygodni milczenia. Tesmar zaczął podejrzewać, że V-118 zapomniał o swych zobowiązaniach. Trzeba mu było o tym przypomnieć. Gestapo aresztuje kilka osób z łódzkiej grupy. Między innymi jest tam młoda dziewczyna ps. „Irena”, która znała Zagórewicza. Za cenę wolności zaproponowano jej współpracę, polegającą na odszukaniu Zagórewicza w Warszawie. „Irena” zgodziła się. Wyjechała do Warszawy, skąd po kilkunastu dniach napisała list, że na razie nie spotkała nikogo z organizacji. Na tym skończyła się jej współpraca.

Po kilku dniach nieoczekiwanie odezwał się V-118. Wyznał, że Tesmarowi spotkanie w Piotrkowie, przy dworcu. Gestapowcy obawiali się zasadzki, ale po podjęciu odpowiednich kroków pojechali. V-118 był punktualnie, ale obawiał się, że ktoś może go rozpoznać. Tesmar wziął go więc do wozu i zawiózł do Gestapo w Radomiu, gdzie mogli spokojnie rozmawiać.

V-118 melduje... Kontakt ze sztabem został nawiązany. Przyjęto go bardzo serdecznie, posiada pełne zaufanie. Zaufanie zostało jeszcze pogłębione

oświadczeniem „Ireny”, że została wciągnięta do współpracy z Gestapo w celu odszukania Zagórewicza. Przyznała się do podpisania zobowiązania, wyjaśniając, że była to jedyna droga na wolność i od tej chwili kończy się jej zobowiązanie. Narzeczony „Ireny” był szefem grup likwidacyjnych i postanowił zabić Tesmar w zasadzkę. W tym celu „Irena” miała mu napisać list wyznaczając spotkanie w Warszawie.

V-118 tłumaczył się, że duża przerwa w kontakcie z sztabem była spowodowana brakiem konkretnych danych, ale Tesmar był pewien, iż Zagórewicz przybył powodowany obawą: a nuż Gestapo posiada w grupie warszawskiej jeszcze jednego konfidenta, oprócz „Ireny”?

V-118 otrzymał konkretne zadanie ustalenia bliższych danych o członkach sztabu. Tymczasem „Irena” przeczyściła Tesmarowi list, wyznaczając w Warszawie spotkanie. Gestapo przystąpiło do częściowej likwidacji rozpoznanych grup. Aresztowano szefa grup likwidacyjnych „Mietka” (oficer Mar. Woj.) wraz z „Ireną”, szefa wywiadu „Krzysztofa”, kierownika grupy likwidacyjnej ps. „Doktor”, oraz kilkunastu innych działaczy biorących udział w organizowaniu grup bojowych. Jednocześnie przeprowadzono akcję na Pomorzu, na Śląsku i w Łodzi.

„Irena” została zaraz wypuszczona na wolność. Ten fakt posłużył organizacji jako dowód, że to ona była przyczyną aresztów. W krótkim czasie została przez nieznaną sprawcę zlikwidowana. W ten sposób cudzymi rękami zemiść się Tesmar na „Irenie” za odmowę współpracy.

„Janusz” wprowadzony do resztek organizacji łódzkiej został szybko zdemaskowany jako agent Gestapo i zlikwidowany w Warszawie.

V-118 dzięki temu był poza wszelkimi podejrzeniami. Tesmar w raporcie do RSHA tak ocenił wkład V-118 w rozbicie grupy wywiadowczej:

„przy pomocy V-118 zlikwidowano większość grup bojowych, zdobyto szereg jednostek broni i materiałów wybuchowych... Przez Sady Wojenne zostało skazanych na karę śmierci 29 osób, a około 60 wysłano do obozów koncentracyjnych...”

V-118 do powstania warszawskiego działał pod nazwiskiem Tadeusz Morawski, będąc „na kontakcie” sekretarza kryminalnego Schiemanna z warszawskiego Gestapo. Przed wyzwoleniem uciekł do Niemiec. Obecnie przebywa w Kalifornii i cieszy się dobrym zdrowiem,

opr. J.W



## PAMIĘTNIK SZPIEGA (III)

Zapoznam teraz Czytelników ze strukturą sieci naszego wywiadu. Jest to zresztą schemat, wedle którego próbują prawdopodobnie pracować wszystkie wywiady, ja jednak mogę mówić o brytyjskim tylko, ponieważ jest to jedyny, jaki znam — wyjątkowo praktyczny, w miarę prosty i skuteczny dający największą gwarancję wydajnej pracy przy minimalnej możliwości kompromitacji.

### GLÓWNY REZYDENT

Szefem sieci jest główny rezydent (Resident Director — R.D.). Przebywa on i kieruje organizacją z sąsiedniego państwa, nie powinien mieszkać w państwie. Przeciwnie któremuś pracuje, gdzie możliwa jest kompromitacja jest większa. Z tych samych względów R.D. nie powinien być rodem z państwa dla którego pracuje.

Nie werbuje on sam agentów, nie przeprowadza operacji, nie powinien się również stykać z informatorami. Do obowiązków jego natomiast należy kontrola systemu łączności, troska o finanse, ocena napływających informacji i odpowiednie kierowanie ich.

R.D. musi się trzymać przy tym w ukryciu, pozostać nieznanym dla swoich agentów, kurierów i radiooperatorów i kontaktować się z nimi tylko przez swoich agentów — łączników.

Jednym z najcięższych obowiązków R.D. bywa zacyzkowanie pieniędzy. R.D. jest odpowiedzialny za opłacenie całej sieci i raz do roku przedstawia Centrali swoje bilanse oraz projekt wydatków na rok następny. R.D. pobiera rzadko pieniądze na cały rok, zazwyczaj podejmuje je w 2 ratach. W tym celu R.D. wysyła kuriera do sąsiedniego kraju, gdzie mu kurier Centrali wręcza pieniądze (zwykle w dolarach).

W wyjątkowych wypadkach wolno R.D. umieścić pieniądze w sejfie banku, zazwyczaj jednak musi je trzymać ukryte i wybierać

dla wymiany w razie potrzeby na natychmiastowe wydatki.

Nasz R.D., Albert, rezydował w Genewie, gdzie był współwłaścicielem wielkiej, ogólnie szanowanej firmy kartograficznej. Rozmawiał biegle sześcioma językami, z zawodu kartograf, sporządzał mapy, obrazujące przebieg działań wojennych, ukazujące się w całej prasie szwajcarskiej.

Żoną jego, Mary należała również do sieci i przewożyła go, jak się później okazało, pod względem opłacania i przytomności umysłu.

Albert rozpoczął pracę w 1937 roku i pozostał na swoim stanowisku do pierwszych aresztowań w październiku 1945 r. kiedy to zmuszony był się ukryć.

### KIEROWNICY AGENTÓW (CUT-OUTS)

Nasz cały ciężar powołanego dnia pracy. Oni utrzymują kontakt z agentami i informatorami werbując ich często sami.

Nasza szwajcarska sieć posiadała 3 Cut-Outs, Susi — bałkańskiego pochodzenia, obywatelka szwajcarska — posiadała 2 ważne źródła, nie licząc pomniejszych, o których nie będę wspominał w tym miejscu.

Pierwsze, mniej ważne to ps. Jakub, bogaty przemysłowiec z Litwy. Gdy Armia Czerwona zajęła kraje bałtyckie uciekł on do Paryża i tu zaczął w ambasadzie brytyjskiej starania o wizę do Anglii. W wyniku tych starań został zwerbowany i wysłany do Szwajcarii. Został on członkiem Międzynarodowego Biura Pracy i nawiązał szerokie kontakty w kołach dyplomatycznych. Wykorzystaliśmy poza tym mieszkanie jego, jako świetny schowek na kompromitujące materiały, ponieważ jako członek Międzynarodowego Biura Pracy, Jakub posiadał pewne przywileje. Nie otrzymywał on nigdy stałego uposażenia, a opłacany był

(Dalszy ciąg na str. 7)





Tekst: TADEUSZ PAPIER  
Zdjęcia: WACŁAW BILIŃSKI

## Małe „TARGI POZNANSKIE“



(Dokończenie ze str. 2)

niego obuwia. Dziadek powiedział: „Trzeba zdrowo kalkulować“.

Opiliśmy znowu interes u znajomego szewca. Ten szewc zobaczywszy buty dziadka zawołał: „Odhiliście się od nas, dziadku“. „Jak się żyje?“ — zapytałem. Szewc spojrzał na buty dziadka i powiedział: „Żyje się nieźle, ale konkurencji długo się nie wytrzyma. Zamówień coraz mniej. Wolą kupować gotowy wyrób“. „Trzeba kalkulować“ — powiedział dziadek. „Nie wytrzyma się tej kalkulacji“. Szewc był w smutnym nastroju, więc pożegnaliśmy go. Poszliśmy na rynek. Dziadek bardzo lubi jarmarki, przepada za nimi. „Czy mam co kupić czy nie, muszę być w mieście. Tylko że dawniej było inaczej. Inny ruch“.

Lawirowaliśmy między wozami, końmi, krowami. Dziadek wytargował miotłę brzo-zową. „Niezły interes — rzekł — natnie w lesie brzeziny i potem ją sprzedaje“. Zatrzymaliśmy się chwilę przy stoliku z dewocjonaliami. Krzyżki i obrazki mieszały się z zabawkami. „Ile można zarobić — zapytałem „Można“ — odparł niechętnie. Z boku zawodził dziad na harmonii. Nicco dalej na podwórzu, przeganiał konia. Dziadek z zainteresowaniem przystanął.

Jarmarki małomiasteczkowe spełniają dziś przede wszystkim funkcję rynku uzupełniającego. Oczywiście, z wyjątkiem ziemniaków i zboża. Owies jęczmień, żyto kupują na wolnym rynku wóznice i hodowcy drobiu. Ceny zależą od dowozu i zapotrzebowania

i niejednokrotnie skaczą w ciągu dnia. W ostatnim okresie najtańsze ziemniaki były w Rawie (po 70 groszy kilogram), najdroższe zaś w Pajęcznie (1.30 zł) i Kutnie (1.50 zł). Metr pszenicy należy być można było w Łęczycy za 320 zł, w Pabianicach i Tomaszowie za 450. Kury do dwóch kilogramów wagi można było kupić w Łowiczu za 35 zł, gdy w Tomaszowie i Sieradzu płacono za nie 70 zł. Łatwo wykryć w tych

przypadkach prawo podaży i popytu. Ale przykład butów dziadkowych świadczyć może, że ceny te, jakkolwiek skaczą dość swobodnie i przysparzają wiele kłopotów komisji planowania cen, to jednak są uwarunkowane centralną polityką gospodarczą. Jest jakaś gwarancja, że ten wolny rynek nie przekształci się w „dziki“. Są pewne hamulce, które ograniczają zbyt wybujałe tendencje. Dziady zawodzą pieśni kościelne, na

rynek zjechał „Józef Galazka z samego Śląska“ i sprzedaje „amerykańskie automata do wiązania krawata“. Słyszymy jego podniesiony głos: „Tyle się namęczęm, tyle się natrudziem, koszule zerwiem, kołnierzyk zbrudziem, a krawata nie zawiążę. A tu taka amerykańska automata do wiązania krawata! Komu jeszcze, komu, bo idę do domu“.

Harmonia żebraka, barwne ciuchy, chytry szepot przekupki, jeszcze tylko starego Aron-

ka brak, który handlował żelazem, a mielibyśmy ten świat dawny, dziwny, osobliwy koloryt, mieszaninę wyzysku i dawnego obyczaju. Lecz to jest tylko złudzenie. Na ten rynek wkracza państwo, no, powiedzmy, ogólnie — gmina — spółdzielnia, spółdzielnia takiej czy innej branży. Ona właśnie likwiduje powoli ów wyzysk, zamykając usta spryciarzowi, a koloryt zostaje. I dlatego jest jakaś paralela między nieznanym Nowym







Niemieckie czołgi na polskich drogach



Bateria została...

## Z DYMEM POŻARÓW...

6 września 1939. Dalekie luty nad Kutnem. Za chwilę zapłonę także Łęczyca.

— Uwaga, uwaga! Nadchodzi! — Wysoko nad miastem błysnęły srebrzyste brzuchy bombowców. Nie nadążamy już z alarmami. Padają bomby burzące i zapalające. Miasto płonie. Pożary na Przedzinku, na Ozorkowskiej i placu Kościuszki. Przez wyludnione miasto przemierzają piechurzy 10 dywizji piechoty armii generała Rómmla. Na froncie armii „Łódź”, już tylko odwrot i klęska...

— Niemcy w Poddebicach! — Niemcy wyrzucili ludność w Uniejowie...

Długie kolumny uciekinierów tarasują drogi odwrotu. Na szosach zabici i ranni.

## UNIEJÓW 6—7 WRZEŚNIA

Przez miasto maszerują strudzeni piechurzy. To jeszcze rozbitkowie od Rómmla. Od Nieświeża, Niemysłowa, wzmaga się kanonada. 60 pp z Ostrowa Wielkopolskiego, dowodzony przez podpułkownika Fryderyka Śpieszy na odsiecz zagrożonemu miastu. Trzeba utrzymać przeprawę — most na Warcie. W lasach, na szosie poddebickiej trwają zaciekłe boje. Oddział rozpoznawczy Niemców oraz wspierający go batalion karabinów maszynowych dywizji generała von Brlessen, dostają od polskich piechurów takiego łupnia, że uchodzą spod Uniejowa aż pod Niemysłów, pozostawiając na polu walki działa, karabiny maszynowe, moździerze, wiele samochodów i motocykli oraz kilkudziesięciu zabitych i rannych. Piechurzy 60 pp zdobywają też mapy z wykreślonymi składami jednostek i kierunkami ich marszu. Zdobycza ta ma ogromne znaczenie dla odorientowanego dowódcy armii. W nocy podchodzi do Uniejowa 29 pp oraz Wielkopolska Brygada Kawalerii gen. Abrahama, a nad ranem 9 batalion 56 pp. 14 dywizja piechoty maszerowała tymczasem przez Kłodną w powiecie poddebickim, zdążając na odsiecz Łęczyce...

O świcie 7 września Niemcy uderzyli na Uniejów całą siłą. Trzeci batalion naszego 80 pp pod dowództwem kpt. Bolesława Majewskiego ruszył natychmiast do kontrnatarcia, rozbijając kompanię niemieckich cyklistów i powodując wielkie zamieszanie w innych oddziałach. W rezultacie natarcie niemieckie zostało przyhamowane i mogło rozwijać się jedynie dzięki wielkiej sile ognia artyleryjskiego.

Oddziały polskie dostały tymczasem rozkaz wycofania się pod osłonę Bzury. Owe „dobrowolne odstąpienie” bohaterów 60 pułku piechoty przyjął generał von Brlessen z prawdziwą ulgą.

Dla Uniejowa zaś zaczęły się krwawe dni.

Mieszkańcy zostają spędzeni do kościoła i ostrzeżeni z karabinów maszynowych. Największej masakry dokonują Niemcy na wiejskim przysiółku, gdzie zaplątany o karabin chłop na niezrozumiałe „gwee” (Gewehr?), odpowiada „konczy na?”, tam, za stodołą (zrozumiał bowiem Klee) i prowadzi Niemców za stodołę. Nie wiedział, że w wiosce zastrzelony został przez uciekających żołnierzy polskich, oficer niemiecki i Niemcy szukali teraz karabinu. Nie znaleźli go, ale przysiółek spalili, rozstrzelali i wyrzucili przedtem mieszkańców.

Oddział rozpoznawczy Niemców parł tymczasem na Łęczę. Za nim posuwały się oddziały zmotoryzowane wraz z kompanią saperów ich cel: zabezpieczenie przeprawy przez Bzurę.

Piechota polska nie zdążyła odsieść. Dowódca armii dał więc rozkaz przemieszczania się ulanów Wielkopolskiej Brygady Kawalerii: maszerować na Łęczę. Generał Abraham wyznaczył szwadron dyonu pancernego i brygadowych kolarzy. Za nimi cwałuje bohater 15 pułk ulanów poznańskich podpułkownika Młkka. Przemieszczając forsownym marszem Polacy, nie wytrzymują jednak uderzenia wielokrotnie silniejszego nieprzyjaciela i wieczorem 7 września Niemcy zdobywają Łęczę.

Niemcy przesuwają się tymczasem w kierunku Piatku, gdzie gromadzi się silne zgrupowanie pod dowództwem gen. Büchsa, 24 dywizja niemiecka zajmuje Łowicz. Sytuacja armii „Poznań”, która zgodnie z rozkazami Naczelnego Wodza wycofywać się miała w kierunku Warszawy, zaczyna być groźna, bowiem XI korpus niemiecki, w skład którego wchodziły 18 i 19 dywizja piechoty, dotarł już do Skierniewic, a pancerna dywizja 10 armii niemieckiej atakowała już od południa przedmieścia Warszawy...

W tej sytuacji generał Kutrzeba wysłał w dniu 8 września do naczelnego dowódcy swą plan natarcia nad Bzurą, w którym o bok armii „Poznań”, wziął mają udział również niektóre oddziały nadszarpnięte już uprzednio w Borach Tucholskich armii „Toruń”, gen. Bortnowskiego. Ten ostatni, złamany zapewne klęską, z własnej inicjatywy poddaje się zwierzchnictwu generała Kutrzeby. Z Brześcia nad Bugiem przychodzi od dowódcy zezwolenie. „Słońce wschodzi” brzmi kryptonim tego rozkazu.

## „SŁOŃCE WSCHODZI”

W oddziały polskie, które dotąd z niezrozumiałych dla żołnierzy względów wycofywały się, bez boju oddając rodzinne swe miasta i wioski, wraz z ukazaniem się pierwszych rozkazów o natarciu, wstąpił nowy duch. Nikt nie myślał już o nieudzielnym zwycięstwie, o odparzonych stopach. Dywizje grupy operacyjnej ge-

nerała Knolla-Kownackiego, bohaterzy piechurzy poznańscy 14, 17 i 25 dywizji piechoty, przygotowywali się do natarcia, które wyruszyć miało o świcie 10 września 1939 r. na całym odcinku Bzury — od Ozorkowa po Bielawy. Kawaleria zajmowała tymczasem stanowiska na skrzydłach grupy i tak: Podolska Brygada Kawalerii, w skład której weszły rozbite na Pomorzu oddziały Pomorskiej Brygady Kawalerii pod ogólnym dowództwem generała brygady Grzmota-Skotnickiego, nastawiała się na kierunek Dąbie — Zgierz, Wielkopolska Brygada Ka-

czenie Niemców udało się i dywizje szybko zdobywały teren.

Główne wysiłki swych dywizji skierował generał Knoll-Kownacki na odcinku między Łęczęcą i Piatkiem, a więc w rejonie natarcia 25 i 17 dywizji piechoty, gdzie skierowano też artylerię ciężką armii, pod dowództwem pułkownika Bodnara. Już pierwszy dzień natarcia grupy operacyjnej spowodował rozbiście 30 dywizji piechoty niemieckiej generała von Brlessen, który sam ranny pod Piatkiem, ledwie uszedł skutkom swego niedopatrzania i zlekceważenia siły oddzia-

na była ta ostatnia ofiara, że umilkły wszystkie niemieckie cekaemy, i tylko strzelały ślepe działa...

Ogień artyleryjski utworzył zaporę na trzystu metrach przed liniami Niemców. Polscy kawalerzyści nacierali całym pędem jak na średniowiecznym obrazie. Przodem gnał dowódca z podniesioną szablą. Mała odległość między grupą polskiej kawalerii i barierą niemieckiego ognia. Szaleństwem był ten wysiłek na spotkanie śmierci... Wreszcie kawalerzyści zginęli wśród wybuchów płomieni i dymu eksplodujących pocisków.

A kiedy rozwiał się dym, nie było już grupy kawalerii. Tylko nieliczni ulani, cudem ocaleni, nacierali dalej na pozycje niemieckie. Niektórzy byli bez hełmów, w miękkich polówkach — i im właśnie poddały się załogi kilku czołgów niemieckich...

## ARMIA „TORUŃ” WCHODZI DO AKCJI

11 września wchodzi do akcji grupa operacyjna generała Bortniewicza z armii „Toruń”. 4 dywizja piechoty tej grupy naciera w rejonie Orłów—Sobota, po czym odrzucając oddziały 24 dywizji niemieckiej posuwa się w kierunku na Głowno, opanowując do wieczora las między Bielawami a Głownem.

## ŁOWICZ ODBITY

W Łowiczu tymczasem przebijają oddziały 18 dywizji piechoty niemieckiej, a oddziały 19 dywizji niemieckiej znajdują się w marszu ze Skierniewic do Łowicza. Miasto ponie w kilku punktach, a ludność, szczególnie żydowska, zapoznaje się z metodami niemieckich barbarzyńców.

O godzinie 20 rusza natarcie 64 pp. na miasto. Rozpoczyna się krwawa walka uliczna. Obnażone bagnety polskie przyniosą wyzwolenie. O godzinie 22 miasto znajduje się w rękach polskich. Niemcy tracą dwa doszczętnie rozbite bataliony, pozostawiają sprzęt bojowy i amunicję, wycofują się w popłochu...

## OSTATNI DZIEŃ ZWYCIĘSTWA

12 września 1939 oddziały polskie na całym froncie natarcia posuwają się naprzód. Prawe skrzydło grupy generała Knolla-Kownackiego osiąga w krwawych bojach Wołę Mąkolicką i Ozorków...

60 pp przygotowuje się do ostatecznego natarcia na Ozorków. Wiele żołnierzy po grzebano już na polach podległych, w Solcy Małej i Wielkiej. Szczególnie tragiczna była dla pułku noc z 11 na 12 września. W huraganowym ogniu artylerii, w walce wręcz zginęło wielu dzielnych żołnierzy, a wieś Solca zawarła trwały sojusz krwi z dzielnymi synami Ostrowia Wielkopolskiego.

Natarcie na miasto, w którym rozsiadło się dowództwo niemieckie 21 dywizji, ruszyć ma punktualnie o

godzinie 12.00 w południe.

Jeszcze przechodzi z rąk do rąk folwark Wróblew, jeszcze na wschód od miasta trwają krwawe walki piechurów 17 dywizji pod dowództwem pułkownika Mozdyniewicza i późniejszego komendanta RKU Łódź, majora Wilka. Szczególnie krwawy jest bój o wzgórze Celestynów — walczą tam piechurzy 70 pp.

Wreszcie zaczyna się natarcie na miasto. Niestety, Ozorków nie doczekał się oddziałów polskich, choć obserwował ich zmagania i drogę do zwycięstwa. Zagrożone od północnego zachodu oddziały polskie otrzymały jeszcze tego wieczoru rozkaz odwrotu za Bzurę...

## DRAMAT DOPEŁNIŁ SIĘ

W dniu 13 września 1939 Niemcy przejęli inicjatywę na całym odcinku polskiego natarcia. Armia „Poznań” i grupa generała Bortniewicza zaczęły krwawy odwrot, odpierając raz po raz ataki skoncentrowanego już i silniejszego kilkakrotnie nieprzyjaciela. Od strony Warszawy rozpoczęła natarcie 10 armia niemiecka. XI korpus 8 armii niemieckiej nacierał w kierunku Bzury między Sochaczewem i Łowiczem, a świeżo jej podporządkowany III korpus uderzył z kierunku Kutna, mając za zadanie wyjść na tyły polskie nad Bzurą. XIII i X korpus 8 armii nacierał z rejonu Ozorkowa, Strykowa, Głowna i Zawady. Nad dywizjami polskimi pojawiły się setki samolotów niemieckich. Jednak nie od razu uległy dzielne polskie dywizje. Prawe skrzydło niemieckie zaatakowane ponownie przez grupę generała Bortniewicza załamało się wkrótce, a potężne oddziały XVI, XI i XIII korpusu niemieckiego zaczęły ponowny odwrot, umożliwiając Polakom przekroczenie Bzury w wielu punktach między Łowiczem i Sochaczewem. Jedna tylko 30 dywizja niemiecka straciła w tych bojach ponad 1800 zabitych i rannych, w tym 79 oficerów i 250 podoficerów. Pod osłoną walczących dywizji pomorskich armia „Poznań” wycofywała się w kierunku Sochaczewa.

Ostatnią zwycięską bitwę z czołgami niemieckimi przeprowadzili kawalerzyści pod Brochowem, odbijając Niemcom to miasto w nocy z 15 na 16 września.

Tymczasem stalowy pierścień niemiecki zacisnął się i mało już było nadziei na przebiecie się do Warszawy. O godzinie 10.30 ruszyło natarcie broni pancernej Niemców. Między Czerwiecem i Rybnem rozniósł ono 14 dywizję polską i zdeorganizowało drobne oddziały i służby polskie na całej trasie odwrotu, aż do Kiernozia, powodując panikę i chaos. Silny nieprzyjacieli natarł także na 4 i 26 dywizję polską, ale dywizje te, mimo strat, utrzymały pozycje.

Dopiero dzień 17 września przyniósł ostateczną klęskę. Od rana nieprzyjacieli uderzył na całym froncie między Gąbinem, Kutnem, Łowiczem i Sochaczewem. Z

(Dokończenie na str. 8)

## WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI

(II)

# BITWA NAD BZURĄ

walerii generała Abrahama, na lewym skrzydle natarcia, na kierunku Orłów — Bielawy — Głowno...

## BÓJ O ŁĘCZECĘ

Jako pierwszy natarł skutecznie na Łęczę w dniu 9 września 2 batalion 69 pp. majora Antoniego Chudziłewicza, wdzierając się na przedmieście między Bzurą i groblą topolską. Niestety, nieduży mógł walczyć osamotniony batalion. Zabrałszy kilkudziesięciu jeńców niemieckich, piechurzy wycofali się, ponosząc od ognia nieprzyjacielskiego poważne straty. Uderzenie jednego batalionu wprowadziło w błąd generała niemieckiego von Brlessen (dow. 30 dywizji), bowiem pozostawiając tylko jeden pułk w mieście, polecił on swojej dywizji dalszy marsz w kierunku Piatka — Sobota.

W tej sytuacji wieczorne natarcie 60 i 69 pp. doprowadziło do opanowania miasta i odrzucenia Niemców na południowe i zachodnie jego krańce. Jednakże, dowódca 60 pp., ppłk Fryderych przeoczył zabezpieczenie szosy poddebickiej, w wyniku czego Niemcy zaatakowali o północy miasto, osaczając w koszarach pluton kolarzy polskich, który jednakże nie uległ, i ostrzelując się wytrwał aż do nadejścia przeciwnatarcia...

## ARMIA „POZNAŃ” W NATARCIU

W ciągu dnia 10 września cała armia poznańska znajdowała się w natarciu. Mimo zatłoczonych uciekinierami szos, mimo wielkiego przemęczenia żołnierzy, długotrwałym odwrotem a następnie szybkim przegrupowaniem, planowane zasko-





Szkola na Sikawie

TEKST:  
HENRYK  
ANDERS

ZDJĘCIA:  
Janusz  
SKOSZKIEWICZ



W łobku przy ulicy Szpitalnej

(Dokończenie ze str. 2)

— O, dawno się nie paliło u nas.

Jak się tu żyje? Teraz nie najgorzej. Są sklepy, można wszystko dostać. No, z mięsem to tak, jak wszędzie. Tak, kłosek z gazetami jest. I telefon. Szkołę mamy nową.

Kto tu mieszka? No, kto, ludzie. A no tak, mieszka tu dentystka, do lekarza trzeba iść na Stoki...

Bo weźmy takie Stoki — drugie w dzielnicy miasteczko. Osiedle schłodne, wypielęgnowane, nowe, choć w stylu nienowoczesne, przypominające dziewiętnastowieczne miasteczko wielkopolskie.

Jakże specyficzne tu problemy, inne niż we właściwym Widzewie, niż w pozostałych okolicach miasta.

Mieszkańcy Stoków przeważnie na miejscu nie pracują. Nie ma tu urzędów, nie ma zakładów przemysłowych. Są szkoły podstawowe i rejonowe wypoczywalnie książek, ale nie ma świetlic, a raczej jest jedna — martwa.

Mieszka tu dużo inteligencji, w pewnych kwartałach niemal wyłącznie inteligencja, ale nie posiadają Stoki ani kina, ani kawiarni. Rozmawiałem przez telefon z kobietą-lekarzem.

— Nie wszystkich zadawała — mówi — ta odrobina sąsiedzkiego życia towarzyskiego. A wybrać się do miasta, to godzina jazdy tramwajem w jedną stronę. Do teatru raczej się nie chodzi, zbyt ryzykownie wracać wieczorem. W każdym razie sama bym się nie odważyła.

Pani doktor śmieje się do słuchawki milym, młodzieńczym głosem.

— Od jedenastu lat, jak tu mieszkam, obiecują nam dom kultury. Żeby chociaż założyli kino w jakimś prowizorycznym budynku.

O czym to w dwudziestym wieku marzy kobieta z pewną pozycją społeczną?

O ile mi wiadomo, wolalbym się mylić, ani kino, ani — tym bardziej — dom kultury na Stokach nie figurują w planach inwestycyjnych. Ani w planie bieżącym, siedmioletnim, ani w perspektywie po 1975 r. Nie ma co się ludzi, w pierwszym tysiącleciu nie z tego nie będzie. Brak funduszy.

Jeżeli kłódka jest krótka, wypowiedział się na ostatniej sesji przewodniczący MKPG, muszą wystawać albo nogi, albo głowa.

— Ale nam i nogi wystają i głowa... i wszędzie nam zimno. Daliście nam koldę nie tylko za krótką, ale i za cienką — odpowiedział przewodniczący dzielnicy.

A no tak. Na 40 tysięcy ludzi kino „Pokój” ma 203 miejsca. Pięć miejskich wypożyczalni oraz cztery punkty biblioteczne dysponują łącznym księgozbiorem 27 tysięcy tomów. Z dziesięciu świetlic dwie są czynne, jedna jako tako u-

# ZIEMIA jeszcze nie ODZYSKANA



Na widzewskim podwórku



Typowy pejzaż widzewski — drewniane domki i topole.



Kino „Pokój” na Widzewie

daje, że coś robi. Inne nawet nie udają. Jedyny klub kultury przy Zakładach 1 Maja nie posiada sali widowiskowej, a użytkowany lokal dzieli ze szkołą popołudniową. Budżetu na kulturę, ani etatu dla instruktora w dzielnicowym Prezydium nie ma.

A na mapie pełno białych pól. I wcale nie chcą zniknąć, przeciwnie, zastygają na dobre.

W Inspektoracie Szkolnym mówią dużo o akcji oświaty dorosłych, chwala zakłady pracy. Tylko w ZPB i Maja wyniki są niespecjalne.

W radzie zakładowej mówią wyraźnie:

— Towarzyszu, czy wiecie, że na pięć tysięcy pracowników 930 nie posiada wykształcenia podstawowego? A na kursy dokształcające zapisało się... — trzydziestu. — Ojej. — Czekać. Z tych trzydziestu chodzi rzeczywiście... pięciu.

Istotnie — wyniki raczej niespecjalne.

Dyrekcja skarży się na duży procent robotników dojeżdżających. Ci na pewno nie będą się dokształcać. Ale są chyba przyczyny głę-

bsze, należałoby je dokładniej zbadać.

Dużo lepiej, najlepiej w dzielnicy, sprawują się Zakłady Włókien Sztucznych. Dla dwustu pracowników z nieukończoną szkołą podstawową zorganizowano dziesięć kursów. Uczęszcza na nie 84 słuchaczy, uczą się w trakcie pracy, dydaktyka kupuje im książki i pomoce naukowe. Również dla biblioteki zakładowej kupiono w tym roku książkę za osiem tysięcy złotych.

Dla odmiany Zakłady 1 Maja zorganizowały pomyślnie dwuletnią zasadniczą szkołę zawodową dla dziewcząt od lat piętnastu. Uczennice dostają stypendia dość wysokie, po ukończeniu szkoły mają zagwarantowaną pracę.

Kuleją za to, jeszcze jak kuleją, akcje kulturalne. U „Hanki Sawickiej” i w Wytwórni Wodek były kiedyś dobre świetlice. Centralne zarządy zlikwidowały etaty i teraz nie dzieje się tam nic. W Zakładach Maszyn Włókienniczych rada zakładowa konserwuje zapas rekwizytów i kostiumów. Wierzą, że przyjdą lepsze czasy.

Niektóre rady próbują kolportować bilety do teatru — raczej bez powodzenia. Rozprowadzania biletów do kin zaniechano. Kupowano je po pełnej cenie i odprowadzano robotnikom po złotówce. Drożej nikt nie chciał płacić, ale złotówka to nie pieniądź. Robotnicy kupowali i przeważnie... nie chodzili wcale.

Wycieczki, owszem. Na to zawsze byli chętni.

Bez drożdży z najlepszej maki nie wypieczę się chleba. A w dzielnicy tych drożdży brak.

Z siedmiu moich kolegów gimnazjalnych, rdzennych widzewiaków, trzech „poszło w dygnitarze” do Warszawy, jeden pływaka do dalekich oceanów, jeden jest lekarzem w Pabianicach, jeden zginął pod Tobrukiem, jeden zawieruszył się gdzieś w świecie.

Temu jednemu, który zginął, niech ziemia lekka będzie, ale czy który z pozostałych pamięta jeszcze, tak na codzień, o Widzewie?

Nie mieszka w dzielnicy ani jeden literat, ani jeden plastyk. Z 22 lekarzy i lekarzy dentystów — ośmiu zamieszkuje w rejonie Kopcińskiego, dziesięciu na Stokach, jeden na Sikawie. Tylko czterech osiadło w Widzewie Centralnym.

Gdzie szukać aktywistów? Kto da dobry przykład, kto nauczy potrzeb kulturalnych?

Wbrew poszeźgólnym negatywnym wypowiedziom, dzielnica jest raczej spokojna, wyczyny chuligańskie należą do rzadkości. Kto zajmuje się młodzieżą?

W Inspektoracie Oświaty, w ZMS wskazano mi/ RTS „Widzew”. Na razie przynajmniej zaczął kulturalny stanowią sportowy.

JACEK LEBEN

## Czas zakopać topór wojenny

W okresie poprzedzającym wizytę premiera Chruszczowa w Stanach Zjednoczonych mało spekulowano w świecie na temat tego wydarzenia, a przecież jego ranga z pewnością jest najwyższa.

Powód małej ilości spekulacyjnych komentarzy jest inny. Spotkanie Chruszczowa — Eisenhowera dotyczyło będzie nie gierki, nie taktycznych manewrów i kontrmanewrów. Tutaj gra toczy się będzie o najwyższą stawkę — nie bójmy się wielkich słów — o losy całej ludzkości.

Nie ulega wątpliwości, że w czasie czterodniowych rozmów prezydenta Eisenhowera z premierem Chruszczowem poruszony będzie problem

współistnienia między dwoma największymi mocarstwami Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, między dwoma światami — kapitalistycznym i socjalistycznym, które muszą, tak, muszą współżyć z sobą na tym ziemskim padole.

Konieczność zmian w polityce zagranicznej Zachodu toruje sobie ostatnio szybko drogę w świadomości opinii publicznej i polityków Zachodu. Szok spowodowany sputnikiem przed dwoma laty i pogłębiany programem budowy ochronów przeciwalomowych na terytorium całych Stanów Zjednoczonych wyraża się teraz właśnie w ten sposób.

Przecież jeszcze przed 3 miesiącami wymiana wizyt między Eisenhowerem i Chruszczowem już jesienią bieżącego roku wydawała by się czymś nieprawdopodobnym. Teraz jest rzeczywistością.

Sprzeciw przeciwko zaproszeniu Chruszczowa do Stanów Zjednoczonych wydaje się być dziełem przede wszystkim najwyższej hierarchii katolickiej z kardynałem Spellmanem na czele i kół politycznych związanych z monopolami zbrojeniowymi, których akcje zaczęły spadać od chwili zaproszenia Chruszczowa do USA. Według danych Instytutu Gallupa 70 proc. Amerykanów opowiada się za wymianą wizyt, a jedynie 18 proc. przeciwko. W krągach europejskich procent ludzi opowiadających się za wymianą wizyt jest jeszcze większy.

Trzeba stwierdzić, że prezydent Eisenhower i wiceprezydent Nixon uczynili wszystko, ażeby wizyta Chruszczowa w USA przebiegała w najbardziej życzliwej i godnej atmosferze. Premier Chruszczow został powitany z honorami, należnymi głowie państwa, a nie premierowi. Rytuał w tym wypadku jest bardziej okazały i bardziej pompatyczny.

Huk 21 salw armatnich, który powitał przybycie Chruszczowa do USA był jednak mniej donośny od huku wywołanego faktem, iż radziecka rakietą kosmiczną trafiła w Księżyc. Największe współczesne wydarzenie natury politycznej zbiegło się z najwybitniejszym osiągnięciem współczesnej nauki.

W wyścigu w kosmos Związek Radziecki raz jeszcze wyprzedził i to dość znacznie wyprzedził swojego amerykańskiego konkurenta.

I chyba nie tylko amerykańskiego. Przypomina mi się w związku z tym pewien dowcip, podjęty zresztą przez Chruszczowa. Pewnego dnia Eisenhower przyszedł na Księżyc. Pod przyczyną kopułę wydała polecenia generałom i uczonym: tu stanie siłownia atomowa, tu radiostacja, tam

zaś wyrzutnia rakiet. Nagle z głębokiego, księżycowego lejka wypłynął jakiś niezidentyfikowany, czuły radarowy zamiast głowy, jakaś płatnina drutów i przewodów i przerywa potok rozkazów prezydenta słowami: „Juz teraz właściwie nie wiadomo co to będzie. Przecież przed kilkoma dniami był tu taki niewysoki, tęgi i łysy i powiedział że wszystko obalejemy kukurydzą”.

Dowcip polityczny zawsze zawiera jakiś ładunek prawdy. Związek Radziecki istotnie wyprzedza USA.

No, ale czas z Księżycem wracać na Ziemię. Na Ziemi, na jej zachodniej półkuli ukazują się w najpoważniejszym dzienniku politycznym „New York Times” cykl artykułów pióra Harrisona Salisbury pt. „Racja Chruszczowa”. Pozwól sobie zacytować z tego artykułu kilka uwag, które, wydaje się, pozwalają lepiej ocenić to wizytę Chruszczowa w Stanach.

„Nowa epoka w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim zarysowuje się w sposób nieunikniony. Nadchodzi czas, aby ponownie zażegnać się z Rosją.

Na nowej Rosji widać wyraźnie piętno Chruszczowa, człowieka silnego, pewnego siebie, rozmownego, skłonego do usuwania przeszkód, człowieka o dojrzałej krzepie, energicznego, o szybkiej orientacji, żywej wyobraźni... Najbardziej charakterystyczną cechą współczesnego kierownictwa radzieckiego jest zaufanie jakim się cieszy... Pełne żywotności zaufanie opiera się na sensacyjnych osiągnięciach technologii wojskowej (satelity Ziemi i pociski międzykontynentalne), na wyrażeniu postępu w przemyśle (więcej stali, szybko rozwijająca się technologia produkcji gazu i artykułów chemicznych), na dużym przełomie w rolnictwie (uwiecznione powodzeniem wykorzystanie obszarów dziewiczych), na oczyszczeniu atmosfery w polityce...”

Według tej opinii u Chruszczowa występują „dożytywe” cechy o dużym znaczeniu. Jest to świeżość w podejściu, skłonność do przyjmowania nowych punktów widzenia, nowych odgłosów, nowych myśli, otwarcie szerokiej drzwicom koncepcjom oryginalnym, odnośnienie się wrogo do dogmatów i rutyny. Chruszczow i jego towarzysze, a nie przez chwilę nie wątpia o wyższości systemu komunistycznego. Jednakże nie ma on żadnych skrupułów w zażyczeniu od kapitalistycznego stylu życia tego co jest w nim dobre. Jeżeli Chruszczow zdaje sobie sprawę, iż polityka jego w radykalnym sposobie zmienia oblicze komunizmu nie zdradza on żadnych objawów zaniepokojenia. Jego zaufanie opiera się na solidnych osiągnięciach jego kraju, osiągnięciach, które od 1953 r. stale zwiększają siły kraju.”

W Camb Dawid 4 dni przebywać będą z sobą Eisenhower i Chruszczow. Do bazy tej, pilnie strzeżonej przez dobrą personel amerykańskiej marynarki wojennej, nie dotra dziennikarze i sprawozdawcy. Ale ci dwaj ludzie, dwaj wielcy mężowie stanu prowadząc rozmowy będą czuli na sobie nieważność, którego mieszkańcy są niemal jedynymi w tym, że ton wojenny trzeba zakopać, że trzeba współistnieć.





Leokadia Pilarska (Pani de Trevillac) i Ryszard Bacciarelli (Andrzej d'Eguzon).

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

## „ŁADNA HISTORIA“

Trzeba by być specjalnie złośliwym, żeby o „Ładnej historii“ (\*) źle napisać: a więc zganić anachronizm i łatwinę komediowych konfliktów, wytknąć kołtunerię obyczajową w akcie II, wykazać mieliznę poznawczą sztuki, dramatyczną nijakosć aktu II. Trzeba by być specjalnie złośliwym, żeby traktować to wszystko na serio, z powagą i nie śmiać się z nie zawsze najzabawniejszych, choć zabawnych perypetii bohaterów.

„Ładna historia“ De Flerisa i Caillaveta, jako komedia na początku naszego stulecia napisana, skrojona na tona obyczajowy fin de siècle, jest kłosem wcale dobrej przez zespół Teatru Jaracza przyrządzonym. Co więcej, jest ta komedia łódzkiemu widzowi w sezonie letnim, żeby nie lękał się zbytniego natężenia myśli w dni upalne... „

Tuszę, mam nawet głębokie przekonanie, że komedia ta cieszyć się będzie dużym powodzeniem u widzów nawet i wtedy, kiedy listopadowa sioła czy grudniowy mróz sprzyjają głębszej kontemplacji. Bo też „Ładna historia“ należy do tych sztuk, gdzie, choć wszyscy pod koniec pierwszego aktu wiedzą już, że zakochanych nie nie rozdzieli, to jednak zabawa miejscami jest znakomita, w głównej mierze dzięki świetnemu aktowi pierwszemu oraz, a może przede wszystkim, dzięki kapitalnie narysowanej sylwetce najważniejszego bohatera, sprężyny wszystkich powikłań — Walentego Le Barroyera. Akt drugi, oparty w głównej mierze na przeciągnięciu zbyt mocno i mocno już nie na miejscu w teatrze chwycie „qui pro quo“ nuży miejscami, jest też nieznośny przez ową pochwałę miłości „czyste“, w której nie wolno nie przed przystąpieniem do siódmego sakramentu. W akcie tym pewna okrasa, zresztą w terczie komicznej nie najmniejszą wagą jest postać uroczej babci — staruszki, stróża obyczajów w każdej sytuacji oraz kibica miłosnego. Na dobrą sprawę jednak akt drugi mógłby być pozytywny jako pewna niekonsekwencja autorów. Przecież w

akcie pierwszym w sposób niedwuznaczny daje się do zrozumienia jakim rogiaczem jest uczonego Pan Hrabia d'Eguzon. Atmosfera obyczajowa jest więc tu względnie jasna. W drugim akcie jednak dwójce zakochanych, zbiegłych przed tłumem gości, odgrywa przed babką komedię pozorów, żeby potem pożegnać się na progu sypialni. Pół biedy, gdyby nie ta cała otoczka certyfikowania się, rozstawania na czas nocy na zasadzie niepojętego zupełnie w danej chwili, metafizycznego nakazu. W końcu jednak Andrzej jako mężczyzna zbyt niemrawy, zdopinguwany przez chwacką staruszkę, wejdzie w łóżko niezamężnej Heleny. Akt trzeci będzie już konsekwentną kontynuacją sytuacji, podbudowanej przegadami Walentego.

Podkreślając wyżej walory aktu pierwszego, chciałbym dodać, że mógłby on stanowić zamkniętą dramaturgicznie całość. W zasadzie, jeśli mówić o rozwoju konfliktów, dwa następne akty niewiele już wniosą. Pierwszy natomiast, zarysowawszy konflikt, puentuje się poprzez odpowiedź Margrabiego de Langelier na dręczące Walentego pytanie, czy należy się przesiadać, jadąc ekspresem o 3.50 do interesującej go miejscowości. Puentuje się też świetnie poprzez ironicznie i złośliwie brzmiący, grany dla nikogo już przez cież, Marsz Weselny Mendelssohna.

Rzecz oczywista — komedia taka, jak „Ładna historia“ nie może egzystować dzisiaj na zasadzie doświadczenia. Winno to dotyczyć, jak sądzę, prawie wszystkich sytuacji scenicznych. Zrozumiałe, że nie zawsze będzie to równie łatwe do zrealizowania. Pokusa dystansu do interpretowanej postaci, pokusa kreacji „z zezem“ jest aż nadto w komedii tej wyraźna, żeby ją ominąć. Ta pokusa dystansu, trzeba sobie to uświadomić, jest na dobrą sprawę jakąś możliwością nowoczesności, dobrego świadomego aktorstwa. O tym, że tak jest przekonałem się patrząc na najlepiej w całej sztuce zagraną, zgola kapitalną scenę w akcie pierwszym, kiedy to młody, niedoszły żonkoś ma się przedstawić dotychczasowemu wychowawcy swej przyszłej żony. Czasu mają na tę prezentację niewiele, bo tylko piętnaście minut. Czas sceniczny zresztą tego dialogu jest nie dłuższy niż kilka minut. Janusz Mazanek i Konrad Łaszewski potrafili uczynić jednak z tego prawdziwy majstersztyk aktorski. Już dla tej jednej choćby sceny warto zobaczyć „Ładną historię“. J. Mazanek rozbudował ledwie

zarysowaną postać uczonego hrabiego, jej cechy pozornie nieobecne na ziemi naukowca-rogiacza, który wadomę o pozamałżeńskich przygodach małżonki d-brodusnie przyjmuje jako fakt oczywisty i naturalny, byle by tylko wykopaliska w Egipcie nie ucierpiały. Roztargnienie uczonego-egiptologa, pozornie tylko, tak, jak trzeba pogodzić z trzeźwością umysłu. Udowodnił też, że poprzez powtarzanie monosylabowego „tak“ można wydobyc rys indywidualny postaci.

Konrad Łaszewski jest natomiast bohaterem spektaklu de nomine i de facto. Przeżabawny w akcie pierwszym, zachowujący należytą dystans do postaci, kpiący w gruncie rzeczy z Walentego, zagrał, właśnie zagrał Le Barroyera, a to już znaczy coś więcej aniżeli identyfikacja z postacią niedosłego małżonka. Niech więc państwo koniecznie zobaczą i usłyszają, jak to P. Le Barroyer-Łaszewski zapytuje o te ekspres o 3.50, wydaje opinie o sobie i zaświadczając o swej pedanterii notkami na kartach kalendarzyka.

Z całej pozostałej galerii ważniejszych i mniej ważnych postaci nie można pominąć L. Pilarskiej w roli zabawnej, chwackiej i kochającej swą wnuczkę babci de Trevillac. A. Krawczykówna, tegoroczna absolwentka łódzkiej PWST, zdecydowanie lepsza w akcie pierwszym, dzielnie na ogół wywyzuje się ze swojego zadania, nie z własnej winy jednak grzęznąc w sztucznie czasami zagęszczony dialog drugiego aktu.

\*) Robert de Fleris i Armand Caillavet — „Ładna historia“. Teatr im. Jaracza. Reżyseria: Jerzy Walden. Scenografia: Bolesław Kamiński.

## BITWA NAD BZURĄ

(Dokończenie ze str. 6)

dywizjami piechoty uderzyły wielkie siły pancerne i powietrzne. Stłoczone na niewielkim obszarze armie „Poznań“ i „Toruń“, zaległy w lasach, a kiedy potem armia „Toruń“ podjęła marsz, uderzenie z powietrza zniszczyło ją i z pozostałych dywizji zostały tylko kilkusetosobowe niedobitki. Jednakże 15 dywizja polska rzuciła się jeszcze pod Brochowem do natarcia, ale był to już tylko akt rozpacz. Rozbita konfederacją niemieckim zapadła batalionami w Puszcę Kampinoską, uchodząc

wraz z niedobitkami obu brygad kawalerii w kierunku Warszawy. Potem kocioł zamknął się ostatecznie. Od tej pory trwało już tylko przebijanie się mniejszych oddziałów polskich na własną rękę.

Kawaleria i niedobitki 15, 25 oraz grupy z 17, 27, 4, 16 i 28 dywizji piechoty, dotarły po walce w rejonie Sieraków — Palmiry do Warszawy, chlubnie jej potem broniąc. Dotarł też do Warszawy gen. Kutrzeba, Knoll i Tokarzewski. Generał Bortnowski bronił się jeszcze z niewielkimi oddzia-

łami w kacie Wisły i Bzurze i wraz ze ścisłym sztabem dostał się do niewoli. Podczas próby przebiecia się, zginął także bohaterski dowódca 60 pp pułkownik Frydrych, a w dniu 19 września, po bohaterskiej walce na czele grupy oficerów i żołnierzy poległ wraz z całą grupą generał Bołtuć.

Tak skończyła się największa i najtragiczniejsza bitwa kampanii wrześniowej, bitwa, która dowiodła raz jeszcze, wspaniałego męstwa żołnierza polskiego, bitwa nie wykorzystanych możliwości, nie spełnionych nadziei.

## PAMIĘTNIK SZPIEGA

(Dalszy ciąg ze str. 4)

każdorazowo według rezultatów pracy.

Drugim bardzo ważnym źródłem Sussi i najważniejszym źródłem naszej sieci był „Lily“.

Kim był „Lily“. Był to najważniejszy aktor w tym szczególnym dramacie, choć nigdy nie wyszedł sam na światło dzienne. Przyczajony bezpiecznie w neutralnej Szwajcarii, trzymał w swoich rękach nici, wodzące do najważniejszych sprężyn hitlerowskiej maszyny wojennej — Oberkommando der Wehrmacht, Oberkommando der Luftwaffe, Marineamt i innych ważnych instytucji. Tajemnica „Lily“ pozostała, kto mu udzielał informacji oraz w jaki sposób do niego docierały. Ja sam mogę podać jedynie znane mi fakty oraz pewne wnioski, jakie z nich wyciągnąłem, reszta pozostawała własnością „Lily“, a „Lily“ milczy.

„Lily“ zaopatrywał Centralę systematycznie, dzień po dniu, w rozkazy bojowe armii niemieckiej, walczącej z Rosją. Tego rodzaju materiały mogły pochodzić tylko z samej OKW. Żadne inne biuro w Niemczech ich nie posiadało. Poza tym, że informacje „Lily“ obejmowały również dziedziny Luftwaffe i Marineamt, od czasu do czasu „Lily“ dostarczał również raportów o stanie wojennej produkcji niemieckiej i osiągnięciach naukowych. Przypominam sobie np., że w 1941 roku „Lily“ dostarczył danych, odnośnie produkcji bomb latających, oraz planów konstrukcji 10-tonowych rakiet.

Po tym, co powiedziałem, nie ma potrzeby podkreślać znaczenia roli „Lily“, bezcenne wprost wartości takiego źródła jest dla każdego zrozumiałe. Narzuca się pytanie, czy wiedziała o informacjach tych Moskwa, dla której posiadanie, lub nie posiadanie wiadomości tego rodzaju mogło stanowić w pierwszym okresie kampanii różnicę, jaka istnieje między życiem a śmiercią. Odpowiedź na to pytanie musi dla nas niestety pozostać w sferze domysłów. Rozmawiałem na ten temat kilkakrotnie z Albertem, który podobnie jak ja, przypuszczał, że Londyn postąpił się źródłem „Lily“ jak ciężarkiem, mającym regulować stosunek sił, zmagających się ze sobą na Wschodzie dwa giganty.

Wracając do rzeczy, chciałbym powiedzieć parę słów o ustosunkowaniu się Centrali do rewelacji „Lily“. Informacje otrzymywałyśmy ogromnie szybko, w wielu wypadkach już w 24 godziny po podaniu ich do wiadomo-

ści dowództwa niemieckiego. Nie mogło tu być mowy o żadnym kurierze, „Lily“ musiał informacje otrzymywać drogą radiową. Ta właśnie szybkość m. in. wpłynęła zrazu na pełne nieufności ustosunkowanie się Centrali do niego.

Ostrożna w najwyższym stopniu Centrala doradzała z początku Albertowi urwanie wszelkiego kontaktu. Wówczas nawet, gdy „Lily“ podał dokładną datę napaści Hitlera na Rosję na dwa tygodnie przedtem, a fakty potwierdziły w pełni autentyczność źródła, Centrala uparcie odmawiała akceptacji i utrzymywała, że musi tkwić poza tym jakaś prowokacja.

Myśmy jednak nie przerywali przekazywania wiadomości i jak kropla kruszy skała tak i nam udało się w końcu przekonać Londyn, że źródło jest w najwyższym stopniu cenne.

Dalej wszystko szło już gładko. „Lily“ otrzymywał 7.000 fr. szwajcarskich miesięcznie, nie licząc specjalnych premii, a informacje jego, przynajmniej te, które przesyłał przez moją radiostację nosiły zawsze adnotację „Płnne, zaszyfrowane natychmiast“.

Zaakceptowanie źródła „Lily“ było to jedyny wiadomy mi wypadek odstąpienia Centrali od jej zasady uprzedniego sprawdzenia informatora.

Kim był „Lily“?

Do aneksji Czechosłowacji „Lily“ — prawdziwe nazwisko Holder, Czech z pochodzenia, pracował w czeskim wywiadzie wojskowym. W Pradze zatem należałoby szukać rozwiązania tajemnicy jego źródła. O ile mi wiadomo miał on długoletnie poważne kontakty w politycznych i kulturalnych kołach Berlina. Po aneksji Czech Holder uciekł do Szwajcarii, gdzie nie zaniechał niczego, ażeby uczynić swój pobyt tutaj trwałym i bezpiecznym. Przez wyzyskanie źródeł swoich w Niemczech „Lily“ przysłużył się szwajcarskiemu Sztabowi Generalnemu, który szybko zdał sobie sprawę z jego wartości, dowiadując się od niego o zamarach Hitlera odnośnie Szwajcarii. Szwajcarski Sztab Generalny eksploatował również „Lily“, dając mu do oceny inne informacje, dotyczące Niemiec i traktując przy tym bardzo poważnie jego opinie. „Lily“ zakończył zresztą swoją karierę, jako doradca szefa wojskowego wywiadu szwajcarskiego po linii Niemiec.

Holder szukał widocznie kontaktu do naszej sieci i uzyskał go przez „White“,

który był jego starym przyjaciелеm i który sam pozostawał na kontrakcie „Sussi“. „White“ przedstawił go Centrali pod warunkiem, że źródła informacji „Lily“ pozostaną nieujawnione.

Następny Cut-Outs — „Paul“ — rodowity Brytyjczyk, długoletni pracownik wywiadu, specjalista w sprawach dyplomatycznych. Najważniejszym jego źródłem była organizacja emigrantów niemieckich w Szwajcarii, złożona z b. członków SD, radykałów oraz trockizujących elementów, odpadłych od KPD. Organizacja ta stanowiła dla nas cenną bazę werbunkową (członkowie jej pozostawali w kontakcie z grupami emigracyjnymi innych krajów w Szwajcarii i Francji) oraz źródło informacji o Niemczech z dziedziny gospodarczej, politycznej i militarnej. Wiadomości te zresztą docierały do „Paula“ prawdopodobnie nie poprzez całą serię kurierów, ponieważ zazwyczaj był już nieco nieaktualne. Źródło wszakże zachowało do końca swą wartość, ponieważ umożliwilo penetrację niemieckich środowisk emigracyjnych, którymi interesował się z natury rzeczy wywiad niemiecki.

Inne źródła „Paula“ znałem tylko z romantycznego imienia „Vivian z Watykanu“. Nadsyłało ono wiadomości dyplomatyczne z Włoch, a w szczególności z Watykanu. Nie dowiedziałem się nigdy, w jaki sposób docierały one do „Paula“, przypuszczam jednak, że pocztą dyplomatyczną i że dostarczały ich jakiś akredytowany przy Watykanie dyplomata.

Wreszcie trzecim Cut-Outs byłem ja sam, pełniąc równocześnie funkcje radiooperatora. Miałem na koncie Anne Müller, pracownicę wywiadu brytyjskiego od lat 20. Była łącznikiem pomiędzy siecią „amaster“ (dosłownie „szew“) — sporadzał nielegalne dokumenty).

Drugi mój kontakt miał być źródłem informacji, ale nie był nim nigdy właściwie, a był raczej zmorem, narzucona mi przez Centralę: Hans i Joanna Wilmer (pseudonim — „Lorentz“) i „Laura“) byli długoletnimi pracownikami brytyjskiego wywiadu.

Oboje urodzeni w Ameryce, narodowości ponoć szwajcarskiej pracowali dla Londynu w Ameryce Płd., Chinach i Japonii. Centrala nie znała ich obecnego adresu i kazała ich odszukać jedynie na podstawie prawdziwych nazwisk i imion. Udało się mi to za pomocą książki telefonicznej (bezczennie, a jakże często niewykrytywane źródło przy tego rodzaju poszukiwaniach), ustaliwszy ich w willi niedaleko Lozanny. Zostałem przyjęty przez nich w najwyższym stopniu nieufnie i dopiero po wielkich trudnościach udało mi się wydobyć od nich pewien, mało wartościowy zresztą, materiał. Przez cały czas naszej znajomości starałem się oboje dowiedzieć mego prawdziwego nazwiska i adresu, z przyjemnością jednak mogę stwierdzić, że bez wyniku.

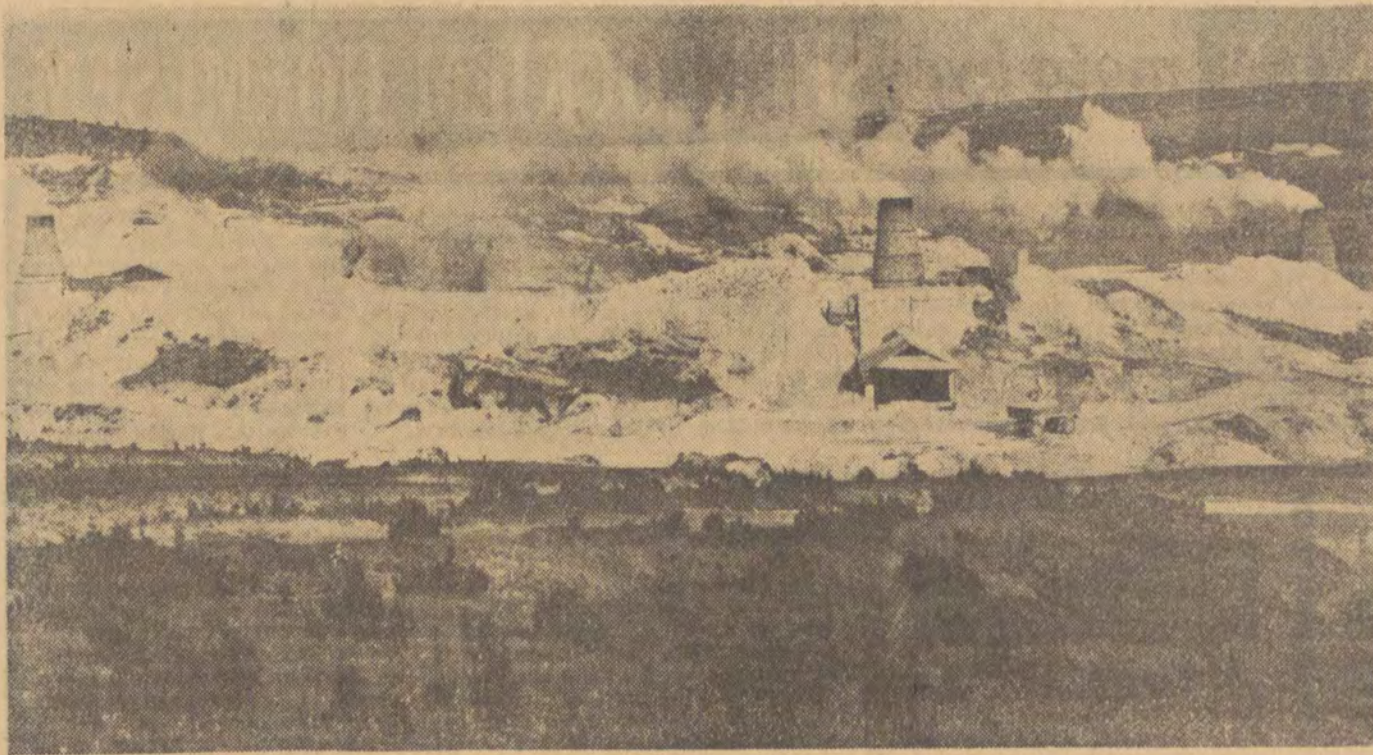
Nie mam wątpliwości, co do tego, że zostali oni zwerbowani przez wywiad niemiecki na jakiś czas przed wojną i że pracowali na 2 strony, dostarczając wywiadowi brytyjskiemu fałszywych informacji, podsuwanych przez Niemców.

Na moją pochwałę muszę powiedzieć, że zorientowałem się co do nich dosyć wcześnie i przestrzegalem przed nimi Centralę, jednak długi czas bezskutecznie. Do tej sprawy powrócę niedługo przy omawianiu metod kontrwywiadu.

IERZY DAGOBERT



**Na wysokim brzegu nadwarciańskim rozłożyło się isne zagłębienie wapienników. Ich kominy dymią dzień i noc bez przerwy.**



ZBIGNIEW CHYLIŃSKI i ANDRZEJ MAZUR

# REZERWAT KAPITALIZMU?

Dalszy ciąg ze str. 1

**3**

W targnaliśmy do wsi blednej i egzotycznie brudnej nawet jak na rodzime zwyczaje. Wiedzieliśmy skądinąd, że cała pisana jej historia zamknięta się w dwóch wzmiankach: raz w dzienniku bojowym armii „Łódź” — tutaj Niemcy najspokojniej forsowali Wartę 1 września 1939 roku; drugi raz — w wykazie chronicznych ognisk duru brzusznego w województwie.

Następnego dnia gwoili ścisłości notowaliśmy trzeci punkt dziejowego zapisu: w raportach milicyjnych Bobrowniki dzierżą prym, jeśli idzie o domowy wyrób alkoholu, dzięki czemu wabią się dźwięczniej „Bimbroni”. Na tym tle brak wódki w miejscowym Geesie oraz zapewnienie sklepowej, że „wódka to u nas nie idzie” — stały się absolutnie zrozumiałe. (To zjawisko, humanistycznie rzecz biorąc, bardzo nas uradowało. Z drugiej strony — i złościło, bo ucieszyło mówiąc o chwale, to chcieliśmy kupić).

Bobrowniki chcą gremialnie rzucić ojcowiznę. Sołtys Caban rozkłada ręce: — Lotne piachy, panowie, nie ma życia.

— A wapiennika, jakoś wzięwszy się do kupy, nie moglibyście postawić?

— Do kupy? Eee, panowie! U nas z kółkiem rolniczym kłopot, bo nikt nie chce dać 20 zł wpiślowego.

— Dokądże to chcielibyście się przenieść?

A gdzie bądź byle w „Polską centralną”.

— A co wam proponują? — Szprotawę, koło Zielonej Góry.

— No, tam dobra ziemia. Wino rośnie, pszenica.

— Eee, panowie, to za daleko.

— I nikt ze wsi się nie rusza?

— Młodzi jeżdżą na melo-

racje. Pod Kołobrzeg. Tu roboty nigdzie nie ma.

— A w wapiennikach?

— Lisowice i Działoszyn bliżej. Tam dosyć chłopów. Od nas nikt nie pracuje.

— No, ale tak przecież nie można. Ludzie żyją coraz lepiej, a wy będziecie w kółko biedę klepać i zmiłowania czekać?

— Zżyło się, to i żyć będzie. Żeby tylko most zbudowali. Połowę pola mamy za rzeką. Dwa promy na 70 chałup.

Rzeczywiście. Po przeciwnej stronie Warty stado krów cierpliwie stoi w „kolejce”.

— W żniwa żebyście przyjechali. Furmanki do drugiej w nocy czekały na przewóz.

— W Lisowicach most wybudowali, to i u was wybudują.

— Eee, gdzie tam. W Lisowicach to im most był potrzebny, żeby kamień do wapienników wozili. Ziemię mają wszystką po swojej stronie.

— No, państwowy wapiennik, to i most państwo wybudowało.

— Eee. Państwowy na swoim kamieniołomie stoi. Prywaciarze wożą. Prywaciarze potrzebowali mostu, to im wybudowali. Lepiej nie mówić...

Czyżby widmo czarnej korupcji w rezerwie kapitałizmu? Klania się Sinclair. Pamiętacie nałeciarza, co to władze stanowe przekupił, aby mu wybudowały wygodne drogi dla cystern.

Ale wieś Bobrowniki a. d. 1959 przykuwa uwagę zafascynowanym. Obywatelska lojalność i irracjonalna wiara w posłannictwo dobrej rady wzięły górę nad zamysłem byznesu.

— A może by tak hodowlę ruszyć? — chcemy radzić.

— Eee, a co gadzina żreć będzie. Ja próbuję. I to ziemniaki i sruć spod Wielunia kupuję. Ciężko skalkulować. Innym świnie na różycę wydychały raz i drugi, to już teraz nie trzymają. Ja się strzegę. Mięsa nie jem, bo to pójdzie się do chlewu za po-

trzebą, a potem i świnie zdechną.

— A drób, gęsi...?

— Trawy nie ma. Nieodpowiednia.

Odjechalismy mając nie tęgie miny.

Pod Działoszynem żółty, gęsty dym i ruch ciągników z tabliczkami „Polowy wypał” znowu przywracał słodki smak byznesu.

**4**

W Pajęcząńskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Terenowego wyuczulismy stan obłożenia. Konkurencja. Dwa systemy ekonomiczne w koegzystencji na skrawku ziemi z dostępem do jednej stacji kolejowej.

Przedsiębiorstwo wykazało 200 tys. zysku za ubiegły rok, ale już je potrzebuje na pokrycie strat tegorocznych. Polknęło dotąd 28 milionów złotych na inwestycje i polknęło Jeszcze 11. Rozbudowę się kredownię. Kredownia to przyszłość, kredownia daje dochód. Wapienniki to kula u nogi.

— Czemu kula, skoro prywatnie się na nich bogacą?

— Nie ma zbytu. Zbyt by może był, ale wagony... Na niedziele zamówiliśmy 5, nie dostaliśmy ani jednego a prywatnie 3 załadowali...

— No, to chyba zwykły skandal, wykroczenie kolei, skoro mając wagony dała je prywatnikom, a nie nam?

— Zawiadowca stacji tłumaczy się, że mu „na dziko” je zajęli.

— W takim razie winni ci, co „na siłę” ładowali i trzeba by ich od takich praktyk oduczyć. Takiej wolnoamerikaniki to rzeczywiście nie wytrzymacie. (Swoją drogą pogadamy z zawiadowcą, bez wagonów, jak widać, byznesu nie zrobimy).

— Jaką macie kalkulację? Prywaciarzom wypał wapienia się opłaca, to i wam powinien się opłacać.

— Oni placą ludziom grsze. 1000 zł miesięcznie za 12-godzinny dzień pracy. My

placimy 1500 za 8 godzin a prócz tego wszelkie świadczenia socjalne, jak ubezpieczenia, urlopy, chorobowe, dodatki na trzeciej zmianie...

— Prywaciarze także leżą na ubezpieczeniu a ponadto bułą podatki. Czy wierzyć w owe tysiące złotych, skoro od tej sumy oblicza się stawkę ubezpieczeniową? Chyba to „umówiona” suma między nakładcami a robotnikami. Słyszeliśmy, że bywają zmyślniejsze sposoby wynagradzania. Kilkaście dni plec dymni na beneficj właściciela, jeden dzień dla tych co w nim palą... Dość, że im się to opłaca, i że nieźle prosperują w tym samym czasie, kiedy państwowy wapiennik ma straty. Jaki jest koszt wypału jednej tony?

— 322 zł. Sprzedajemy w hurcie po 462 zł tona „loco stacja dostawy”.

— Prywaciarze niedrożej „loco plac budowy” i — słyszeliśmy — 420 zł „loco stacja”. Mimo to, jeśli sędzić po ruchu w interesie, strat nie ponoszą.

To jest trudny, mili Czytelnicy, problem i konia z rzędem albo traktor temu, kto go teoretycznie rozwiąże: wykaż straty, jeśli produkujesz po 322 zł i sprzedajesz po 462 zł. Okazuje się jednak, że praktycznie można to zrobić szybko i bez trudu. Wagony planuje się na miesiąc. Ow plan miesięczny sporządza się według nieustającej, codziennej produkcji (ani trochę więcej, bo grozi „osiowe”). Zapotrzebowuje się owe wagony każdego dnia z wyjątkiem niedzieli i świąt (pamiętaj, abyś dzień świętych święcił). Dziecinie łatwy zabieg. Wiadomo: kolej, instytucja z rozkładem jazdy, nie uznaje czerwonych cyfr w kalendarzu. Takim sposobem święteczny nadmiar wapienia leży na kupie i chętnie wchodzi w związek z deszczem, tworząc szlachetną, ale przedwczesną syntezę chemiczną. Synteza chemiczna przechodzi w antytezę ekonomiczną i mamy nawet coś z dialektyki. W każdym razie na deficyt starczy.

**5**

Tę mądrość posiadliśmy dokumentnie z karty zawiadowcy stacji. Posadzany o rzeczy brzydkie, okazał się człowiekiem

Nieraz transakcję się opłje, a to kosztuje. „Klient nasz pan” i sztuka go pozyskać. Trudności w zbyciu nie ma. Dało się ogłoszenie do „Kuriera” i są nabywcy aż z Białostockiego. Wagony? To jest rzeczywiście trudność. Ale i na to są sposoby. W niedzielę łapie się wagony w Działoszynie. W dni robocze wozi się wapno aż do Białej i Siemkowie. 12 kilometrów.

— Opłaca się?

— Opłaca.

— Podatki?

— „Idzie wytrzymać”. Dzwieć tysięcy miesięcznie. Zmierzyli piec i dali taki rycałt. Ja tam nie mam żadnych zaległości.

Zdumiewające. Pierwszy raz przydarza nam się słyszeć o podatkach w tonie beznamiętnym i niemal dobrośliwym. Gdy podatnik nie biadol, nie pomstuje, że dranie, krwiopijcy itepe...

— A konkurencja innych prywatnych wapienników?

— Niegroźna. Wspólnicy — pięce przeważnie są własnością spółek — kłócą się, kantuja nawzajem, ciągną po sądach. Najlepiej jak są swoli, tak jak my, trzech bracia...

— Ile kosztuje postawienie pieca?

— Zależy. Przeciętnie sto tysięcy, stawiali też za osiemdziesiąt.

— Surowiec jest, węgiel ze Śląska od górników można kupić, robocizny pod dostatkiem, zbyt też można zorganizować. Myślimy, panie Klimczak nowy piec postawić — jeden z nas chciał już zagrać va banque.

Ale Klimczak ubiegł:

— A co do konkurencji jeszcze, to zmalała. Wiele pieców pod Pajęcznem, na Trębaczowie, z tamtej strony jak jechać od Radomska, wygasili. Władze z Warszawy nakazały.

— Oho — porozumieliśmy się wzrokiem. Zła czy dobra nasza? Ograniczanie żyłowego rozwoju w rezerwie kapitalizmu? A może uda nam się taki wygaszony piecyk wydzierżyć? Ma się te chody. Może nie jeden, a dwa, trzy...

**DO NAJBARDZIEJ ZAINTERESOWANYCH!**  
Zanim pośpieszycie naszymi śladami w Pajęcząńskie „robić interes”, — PRZECZYTAJCIE drugą część reportażu p.1. NA PERYFERIACH INDUSTRIALIZACJI





# Rozpoczynamy Wielkie Śledztwo pod hasłem:

## KĄŻDY ŁODZIANIN może być SHERLOCKIEM HOLMESEM

Na łamach bieżącego numeru „Dookoła świata” reporter tego pisma Stefan Bratkowski zapoczątkował poszukiwania w sprawie wielkiego spadku po holenderskim kapitanie Brandt. Tym samym zostało otwarte Wielkie Śledztwo Czytelników naszej prasy w sprawie spadku po kapitanie — zabawa i mila rozrywka. Rozwiązanie większości problemów kryje się na terenie lub w okolicach Łodzi — dlatego tak zainteresowała nas poniżej opowiedziana historia. Powinna ona zainteresować także wszystkich starych mieszkańców Łodzi, znawców jej tradycji i miłośników, powinna zainteresować młodych ludzi obdarzonych pasją poszukiwań i odkryć...

„Odgłosy” poprowadzą akcję „Wielkiego Śledztwa” na terenie Łodzi. Każda osoba, która uzyska jakieś informacje, nieznane dane, odkryje jakiś dokument — niech napisze do nas. Dla każdego uczestnika Łódzkiego Oddziału Wielkiego Śledztwa redakcja „Odgłosów” przygotowała szereg nagród.

Prosimy jednocześnie opisywać, jak doszło do uzyskania danej informacji — niewykluczone bowiem, że opisy te posłużą w przyszłości do opublikowania sensacyjnej opowieści pt. „JAK WYŚWIE TLILIŚMY SPRAWĘ SPADKU PO KAPITANIE BRANDT?”. Tak więc każdy z Czytelników „Odgłosów” ma szansę zostać jej bohaterem.

### Spadek po kapitanie Brandt

Redaktorowi Bratkowskiemu udało się odnaleźć sporą część potomków rodziny Pinno, która, wedle podań rodzinnych, utraciła należną jej schedę w wyniku... ba, czego? Grabieży, fałszerstwa testamentu? Wszystko jest tu jeszcze niewiadome. Ostatni przedstawiciel holenderskiego rodu miał wyemigrować do Polski i osiedlić się w okolicach Łodzi, podobno w okresie wojen napoleońskich, stąd też sprawa spadku interesuje polskiego czytelnika, szczególnie zaś łodzian.

### Uwaga, łodzcy Sherlockowie Holmesowie!

Przeczytajcie nam opowieść o sprawie spadku. Kto chce uzyskać jeszcze bardziej szczegółowe informacje, niech sięgnie do bieżącego numeru „Dookoła świata”, dalsze jej losy zależą od Was. Większość słów kryje się na terenie Łodzi.

### Co mówi legenda

Co mówią podania? W wieku XVII panna z rodu Pinno, dodajmy z rodu hugenotów, którzy uciekli do Holandii z Nadrenii francuskiej w okresie nocy św. Bartłomieja, wyszła za mąż za ad-

mirala holenderskiej floty, „schiefcapitana” Brandta. Umierając, kapitan Brandt zarządził w swym testamencie, by w wypadku, jeśli jego córka, Karolina, zejdzie ze świata bezpotomnie, spadek przeszedł w ręce rodziny żony kapitana z domu Pinno. Niestety, mąż Karo-

liny po jej bezpotomnej śmierci zagarnął spadek i przekazał następnie swoim dzieciom z drugiego małżeństwa. Mąż Karoliny nosił nazwisko van Meersch. Testament zastrzegł prawo do spadku dla osób wyznania protestanckiego i ni-derlandzkiego obywatelstwa.

Pinnowie jeszcze przed wyemigrowaniem do Polski mieli ponęć teżyć długą i bezskuteczną (wobec braku funduszy na kosztowne procesy) walkę o utracony majątek. Walkę tę podjęli w drugiej połowie XIX wieku polscy potomkowie Pinnow, co już nie jest legendą...

Rodzina G... odnalezieni przez Bratkowskiego potomkowie rodu Pinno, zastrzegła sobie niepublikowanie jej nazwiska, udzieliła jednak reporterowi „Dookoła świata” wszelkich możliwych informacji. Te znowu wiążą się głównie z babką członków rodziny G... Emilią Pinno.

### Babka Emilia

Emilia Pinno wspominała wnukom, że jako mała dziewczynka przeżyła powstanie styczniowe. Pani Maria G. określiła jej wiek w chwili śmierci na 86 lat. Przypuśćmy jednak, że miała 76 lat; inaczej w okresie powstania musiałaby mieć 21 lat. Wyszła za mąż mając lat 17, za pana G. Z tego małżeństwa urodziło się dwóch synów. Jeden, Marcin G., ma być zapisany w księgach metrykalnych Ozorkowa, jakkolwiek wg tego, co mówił synom, urodził się na Śląsku. Jego brat, Edmund, wyemigrował do USA. Nie był pierwszym z rodziny, który wywodził się z oceanu: wcześniej wyemigrował brat Emilii Pinno, Paul. Ten korespondował z siostrą jeszcze po pierwszej wojnie światowej; mieszkał w Pittsburgu, przy ulicy, której nazwa fonetycznie pisała brzmia Holyuoke (prawdopodobnie Holywake), pod numerem bodaj 86... Później jego kontakty z rodziną urwały się.

### Na widowni F. F. Pfeiffer

Rodzina Pinno mieszkała w Łodzi i uważała się za Polaków. Po śmierci jednak pierwszego męża, Emilia Pinno wyszła drugi raz za mąż za Niemca, nauzczytela przybyłego z głębi Niemiec, Ferdynanda Franza Pfeiffera. Tenże, jeszcze w swojej ojczyźnie, miał jakoby przeczytać w gazetach wezwanie do potomków rodu Brandt do zgłaszania się w związku ze spadkiem. Wezwanie miało nawet ogłosić któryś z van Meerschów...

Rodzina miała za zle Emilii jej wybór. Mówiono o jej mężu „Prusak” i sugerowano, że ożenił się z nią głównie dla spodiowanej sukcesji. Pan Wacław G... określa go jednak jako człowieka wielkiej inteligencji, który doznał od rodziny Pinnow wielu niezasłużonych przykrości.

Bratkowski nie jest pewny, czy Pfeiffer przywędrował z Niemiec. W łódzkich księgach z lat 1825—1832 spotkał co prawda szereg ludzi o tym nazwisku, pisanym „Pfayfer”, ale jest to nazwisko wśród Niemców równie prawie popularne, jak Müller czy Schmidt.

Pfeiffer umarł przed pierwszą wojną światową, ok. 1908 roku. W każdym razie po 1905 r., kiedy zginęła w czasie rewolucji, jedyna jego (i Emilii) córka.

### Scheda Pinnow

Pinnowie, krewni babki Emilii, nie byli specjalnie bogaci. Panowie G... wspominają o młynie we Wrześni. Musiał być jednak coś jeszcze, co stracił na skutek komplikacji osobistych Aleksander Pinno (podpisywał się Pinno, choć w dokumentach miał Pinnau), syn Paula Pinno. Czy stracił tylko dziedzictwo po Pinnach, czy też był w tym i spadek po jego ciotce, Martensowej, której był ulubieńcem, trudno orzec. W każdym razie było to parę placów i kamienie w Łodzi oraz ośmiówłokowe gospodarstwo pod Łodzią.

### Tajemnicza śmierć Kowalskiego

Kto z Pinnow w Polsce rozpoczął znowu starania związane ze spadkiem po Brandcie, trudno dociec. Czy stało się to przed małżeństwem babki Emilii, też nie wiadomo. W każdym razie w drugiej połowie XIX wieku.

Tradycja rodzinna mówi, że zaczęło przed Pfeifferem. Z ust wszystkich informatorów Bratkowski słyszał o małżeństwie siostry żony Paula Pinno (w jednej wersji miała to być siostra Emilii) z adwokatem łódzkim, Kowalskim, który w imieniu Pinnow podjął sprawę, wyjeżdżając nawet do Holandii z jednym z Pinnow, bodaj stryjem Emilii. Kowalski był w sile wieku i pełni zdrowia, toteż rodzinę zaskoczyła wiadomość o jego nagłej śmierci w Holandii. Jak umarł, dlaczego, nie wiadomo. Jego towarzyszy wrócił i ponownie chciał mieć więcej nie z całą sprawą wspólnego. Było to w każdym razie przed 1900 r.

Wielkość spadku, jak powiedział pan Henryk G..., oceniano w r. 1886, czy 1887, na sumę ponad 60 milionów guldów holenderskich.

### Van Meerschowie w Petersburgu

Pfeiffer zwołał pono radę rodzinną, jeszcze raz sprawę przedstawił i uzyskał dla siebie pełnomocnictwo, mimo nieprzychylności rodziny. Rodzinie po jakimś czasie nie chciało się już topić pieniędzy w beznadziejnej sprawie i dlatego cofnęła Pfeifferowi pełnomocnictwo; podobno w chwili, gdy już był niedaleki sukcesu. Była to właśnie owa

„niezasłużona przykreść”, o której wspominał p. Wacław G...

Ze Pfeifferem działał energicznie, tego dowodzą wspomnienia wnuków p. Emilii, która po śmierci drugiego męża zamieszkała w Gąbinie u syna, Marcina G... Pan Henryk G... był ulubieńcem babki, mówiła, że posiadane dokumenty przekazała mu kiedyś do dalszego prowadzenia sprawy. Były to dokumenty pochodzące po Pfeifferze, korespondencja i metryki rodziny. Pan Henryk czytywał niekiedy głośno owe dokumenty, co zdarzało się wówczas, gdy babka była w dobrym humorze i, jak mówiła, chciała sobie przypomnieć jakiś szczegół.

Pfeiffer był pono w Petersburgu w ambasadzie holenderskiej; tam, jak się okazało, urzędował jeden z van Meerschów, których rodzina od paruset lat dostarczała Holandii dyplomatów. Pan Henryk G. wspomina, że babka trzęsła się z irytacji i burzała — jak można poznać prowadzić sprawę urzędnikowi, który w niej sam po którejś stronie jest zaangażowany?

### Pfeiffer działa

Prowadził Pfeiffer korespondencję z przedstawicielstwem holenderskim w Petersburgu, jak i rosyjskim w Holandii. Babka Emilia kontynuowała później tę korespondencję, pisząc do Moskwy i wysyłając pieniądze, nie wiedząc gdzie, czy do Moskwy (po I wojnie) czy do Holandii.

Pfeiffer dostał się do Holandii, mimo, iż ponoć van Meersch w Petersburgu odradzał mu zajmowanie się sprawą. (Nie wiadomo, czy odradzał Pfeifferowi, czy jednemu z Pinnow). W Holandii doprowadził do ekshumacji zwłok Karoliny Brandt. W grobowcu znaleziono biblię jeszcze ponoć gutenbergowskiego druku. Doprowadził też podobno Pfeiffer do stwierdzenia „poprawek”, czy „wymazań” w testamencie Brandta i jakichś podskrobań w owej biblji. Biblia ta, wydaje się mieć jakieś nieznane znaczenie dla sprawy...

### Pamięć wnuków

Wg pamięci p. Henryka G... stos odczytywanych przezeń babce dokumentów sięgał wysokości 15 centymetrów. Pan Bronisław G... zapamiętał pismo przedstawicielstwa rosyjskiego w Holandii, zaczynające się od słów: „My nie sowietujem Wam...”. Wspomina też, że niektóre pisma adresowane były na

Pinnow, czyli, że pochodzili z okresu przed pełnomocnictwem Pfeiffera. Pan Henryk G... przypomina sobie pismo, odpowiadające twierdzeniu na zapytanie, czy w testamencie obok nazwiska Karoliny Brandt było coś wymazane i wpisana nowa treść. Było także pismo ze strony przedstawicielstwa holenderskiego w Petersburgu, poświadczające istnienie klauzuli wyznania i obywatelstwa w stosunku do Karoliny Brandt, lub „późniejszych spadkobierców”. Któres znowu pismo określało Brandta — „Brandt, kapitan okrętowy”. Tyle wiadomo o zawartości dokumentów, których babka Emilia strzegła jak oka w głowie. Informacje te posiadamy tylko dzięki pamięci wnuków pani Emilii... Co się stało z samymi dokumentami?

### Jeszcze raz Aleksander Pinno

Między rokiem 1925 a 1927 opublikowano, jak przypominają sobie pan Witold G..., anons w prasie polskiej, powiadający, że sprawa nadaje się jeszcze do podjęcia. Anons określał spadek na 7 milionów talarów.

Babka Emilia zmarła w Gąbinie w r. 1928. Niedługo przed jej śmiercią zjawił się u niej Aleksander Pinno i zabrał wszystkie dokumenty, licząc, że uda mu się sprawę poprowadzić dalej. Rodzina G... nie przywiązywała zupełnie wagi do rzekomego spadku, zresztą Marcin G... przeszedł dla żony na katolicyzm, czym naruszył drugi punkt klauzuli.

Potem słuch o panu Aleksandrze zaginął. Pan Henryk G... słyszał, że w rezultacie straty majątku pracował w młynie gdzieś na południe od Łodzi. Poza tym między 1934 a 1936 odwiedził pana Henryka G... w Bydgoszczy najstarszy syn Aleksandra, Jerzy Pinno, wówczas uczeń szkoły morskiej. W czasie wojny przebywał na morzu, jest więc prawdopodobnie, że zginął. Niemniej o losie, ani pana Aleksandra, ani żadnego z jego synów, nie wiadomo.

Nie wiadomo również czy żyje p. Robert Hoffman, wnuk po kadzieli siostry pani Emilii, przed wojną jeden z dyrektorów Monopolu Tytoniowego w Warszawie. Być może i on dorzuciłby nieco informacji o losach spadku...

Nie wiadomo również, czy po krewnych pani Emilii nie zostało jakieś potomstwo...

W ogóle, jak widać, w sprawie tej wiele właśnie — nie wiadomo... Dlatego też „Dookoła świata”, a za nim „Odgłosy” rozpoczynają Wielkie Śledztwo.

### ŁÓDŹ, PLAC WOLNOŚCI 1

Pod tym adresem mieści się prawdopodobna skarbnica informacji — Archiwum Miasta Łodzi. Trzeba z ksiąg metrykalnych Łodzi i Ozorkowa (bo tam ma być zapisany w księgach pan Marcin G..., którego nazwisko podamy ewentualnie naszym uczestnikom Śledztwa telefonicznie wynotować i to w pełnym brzmieniu, wszystko co dotyczy nazwiska Pinno i Pinnau, nazwiska G... oraz osoby Ferdynanda Franza Pfeiffera. Księgi metrykalne poinformują nas o datkach i miejscu urodzin ludzi, których ślub czy też śmierć została zanotowana. Ślad też dowiedzieć się, czy F. F. Pfeiffer urodził się w Polsce, czy w Niemczech, dowiemy się, który

z Pinnow zmarłych w Polsce w XIX w. urodził się poza granicami naszego kraju... Skorygujemy także i uzupełnimy sporządzone przez redaktora Bratkowskiego w „Dookoła świata” drzewo genealogiczne polskich Pinnow, uzyskując jednocześnie wiarygodne informacje, jak dalece rozgałęziła była rodzina Pinno.

### PRZEMÓWIA KSIĘGI HIPOTECZNE

Trzeba będzie także dotrzeć do ksiąg hipotecznych w okolicach, na których terenie znajdowały się majątki Pinnow. Przydałaby się do tego celu jakas mapa Łodzi i okolic z dru-

giej połowy ubiegłego wieku. Inaczej bowiem trudno będzie rozszyfrować, której części obecnej Łodzi odpowiada stara nazwa...

### SPRAWA KOWALSKIEGO

Wymieniany przez red. Bratkowskiego adwokat Kowalski należał musiał do spisów warszawskich, bo Łódź w tamtym okresie nie miała bodajże własnej palestry. Tu więc chyba pomogą warszawscy uczestnicy Śledztwa. W Łodzi jednak mogą wiele wnieść do sprawy osoby, które zajądą do prasy łódzkiej z tamtych czasów... Być może znajdzie się jakaś informacja w kronikach sądowych o mecenasie Kowalskim, może notatka o jego wyjeździe do Holandii, a

wreszcie — notatka o jego śmierci? Szczególnie interesująca wydaje się być prasa z owych tajemniczych lat 1886—7, które w opowiadaniach rozmówców Bratkowskiego powtarzały się parokrotnie, a co do których nie udało mi się wyjaśnić, jakie mają znaczenie...

### POSZUKUJEMY PANA ALEKSANDRA

Poszukujemy także pana Aleksandra Pinno lub kogoś z jego potomków lub krewnych. Podobno pan Aleksander żyje i mieszka gdzieś w okolicach Łodzi. Może pomogą nam osoby, które mają dostęp do spisów mieszkańców? Odnalezienie pana

### OCZEKUJEMY PIERWSZYCH LISTÓW

Oczekujemy pierwszych listów. Mamy nadzieję, że pracownicy Archiwum z jego Dyrektorem na czele spełnią naszą i „Dookoła świata” prośbę o przychylny stosunek do naszych poszukiwań. Archiwisci to ludzie wyrozumiali dla poszukiwaczy i szperaczy...

Teraz zaś do dzieła, drodzy Sherlockowie Holmesowie.





## Nowinki

Samochód marki „Syrena” zdobył sobie już popularność w całym kraju. Jednak użytkownicy tego wozu narzekają często na niestaranne wykonanie, szczególnie nadwozia tego wozu. Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu zapowiada więc szereg zmian w produkowanym obecnie modelu, mających na celu ulepszenie samochodu. I tak zapowiada staranniejsze wykonanie nadwozia (uszytywanie naroży maski, polepszenie uszczelnienia okna przedniego, tylnego i szyby obrotowej, ulepszenie mechanizmu zamykania drzwi i ich uszczelnienie) oraz zmiany w podwoziu (wzmocnienie tylnych resorów, przednie amortyzatory teleskopowe zamiast obecnie stosowanych tłoczkowych). Zmiany te mają być wprowadzane do produkcji stopniowo, do końca bieżącego roku. Od nowego roku „Syreny” będą produkowane na ogumieniu wymiaru 4.50—15 (obecnie 5.25—16) oraz z dwuramiennymi wycieraczkami.

## Ciekawostki

Dokąd jeżdżą łodzianie, po siadaczce pojazdów mechanicznych w lecie?

Obserwacje, poczynione skrupulatnie w drugiej połowie sierpnia w Międzyzdrojach nasuwają wniosek, iż miejscowość ta mało odwiedzana jest przez łódzkich automobilistów. Dało się zauważyć tylko 8 samochodów osobowych, noszących łódzkie znaki rejestracyjne (2 Octavie, 2 Syreny, 3 Warszawy i 1 Wartburg); najwięcej widziało się samochodów osobowych z Wrocławia, Szczecina i Poznania. Natomiast motocykliści łodzcy zjeżdżają do tej perły Zachodniego Pomorza gromadnie. Mniej więcej co trzeci motocykl, spotykany w owym czasie w Międzyzdrojach, był zarejestrowany w Łodzi!

## Dlaczego

„posiadacze samochodów „Fiat” 600 nie mogą od dłuższego czasu nabyć w żadnym ze sklepów „Motozbyt” palca rozdzielacza ani kopułki „delka”?... Dlaczego sprowadzając części z zagranicy nie zamawia się tego, co żądają klienci?...

„Okienka w Wydziale Komunikacji Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi są tak wąskie i głębokie, że swym wyglądem przypominają raczej... strzelnice średniowiecznych zamków, niż okienka do załatwiania interesantów w nowoczesnym urzędzie?... A przecież gmach, w którym ma swą siedzibę Wydział Komunikacji był adaptowany dopiero kilka lat temu...

„parking przed Pałacem Sportowym jest tak małych rozmiarów i w dodatku tylko od strony ul. Gdańskiej?... Należy się przecież liczyć z tym, że ilość samochodów osobowych w Łodzi rośnie... Dlaczego więc urządzając pięknie i nowoczesnie otoczenie Pałacu nie pomyślano o parkingu? Miejsca jest dosyć i chyba jakieś rozwiąza-

## Ciekawi nas

jaka pilna „delegacja służbowa” sprowadziła z Łodzi do Międzyzdrojów służbową „Warszawę” (nr. rej. IB 35-26) w upalny dzień 24 sierpnia br.?... Po trudach długiej podróży odpoczywała „sobie” dość długo na parkingu przy ul. Bohaterów Stalingradu obok popularnego... „Piekietka”...

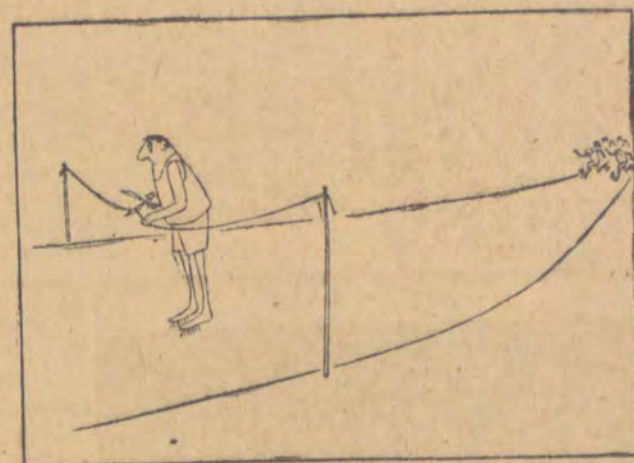
## nieco STATYSTYKI

Niewątpliwie interesująco wygląda skład socjalny nabywców samochodów w łódzkiej „Motozbycie”. I tak w ciągu ośmiu miesięcy 1959 r. indywidualni nabywcy samochodów (zarówno za gotówkę jak i na raty) reprezentują następujące zawody:

|                                                  |       |
|--------------------------------------------------|-------|
| 1. lekarze                                       | 25,5% |
| 2. taksówkarze                                   | 19,8% |
| 3. pracownicy umysłowi (bez dokładnego sprecyz.) | 16,0% |
| 4. rzemieślnicy                                  | 9,1%  |
| 5. inżynierowie                                  | 8,3%  |
| 6. pracownicy fizyczni                           | 6,1%  |
| 7. technicy                                      | 4,5%  |
| 8. nauczyciele                                   | 2,5%  |
| 9. adwokaci                                      | 2,4%  |
| 10. artyści                                      | 2,0%  |
| 11. pracownicy naukowi                           | 0,6%  |
| 12. oficerowie                                   | 0,6%  |
| 13. górnicy                                      | 0,5%  |
| 14. księża                                       | 0,5%  |
| 15. pielęgniarce                                 | 0,5%  |

# Z teki rysunków satyrycznych

(„Eulenspiegel“)



## ODGŁOSY? telewizyjne

## Mieszani

pod redakcją JANA HUSZCZY

## O ŁÓDZKICH GAPIACH

Znam główne ulice niemal wszystkich większych miast polskich, a jednak nigdy i nigdzie nie udało mi się zauważyć takiej ilości niczym nie krępujących się, natrętnych gapiów, jak na naszej Piotrkowskiej.

Czyżby stąd można było wysnuć uogólnienie, że łodzianie najchętniej wyzywają się w biernym gapiostwie, nie darując ludziom samochodom i motocyklom, najbardziej przeciętnym okolicznościom? Bo ja wiem! Z uogólnieniami trzeba ostrożnie, ale jednak...

Niektóre przejawy gapiostwa są szczególnie żenujące. Gdy się pojawia na chodniku cudzoziemiec — a zwłaszcza: cudzoziemiec kolorowy — liczni przechodnie zupełnie demonstracyjnie zaspakajają swoją ciekawość nowych twarzy. Przechodnie zmieniają kierunek spaceru, idą w ślad za nim, niektóre kobiety zaglądają mu w oczy, czasem zaś głośno wyrażają swoje zdanie o kolorze skóry.

A przecież cudzoziemiec od dawna nie jest w naszym mieście czymś nadzwyczajnym, zaś na łódzkich uczel-

niach studiuja dziewczęta i chłopcy, reprezentujący rozmaite narodowości, wśród których nie braknie i Murzynów. Autentyczny Murzyn występuje także np. w filmie, osnutym na tle powieści Wiecha, a zrealizowanym przez Br. Broka, która to komedia wejdzie w tym roku na ekrany.

A nawet gdyby cudzoziemiec był na Piotrkowskiej szczególną rzadkością i rytusem, to co? Zaglądać mu w oczy? Iść za nim? Robić wokół niego tłok?

Nietylko zresztą o cudzoziemców mi chodzi. Niedawno jakiś chłopak popychał na jezdni, wzdłuż krawężnika, wózek inwalidzką z dziewczyną o sparaliżowanych zapewne nogach. Nawet siwowiełsi zatrzymywali się, aby przyjrzeć się nieszczęśliwej dziewczynie, nie zdając sobie widocznie z tego sprawy, że przez swoją prymitywną — chciałbym dodać: antypatyczną — ciekawość jakby podkreślali jej inność wśród zdrowych ludzi.

W gapiostwie jest coś przytem — wbrew pozorom — właśnie z biernej postawy

wobec wszystkiego, co się dzieje. Na ogół ludzie o gapiowskich skłonnościach nigdy nie zainteresują się człowiekiem, który wymaga doraźnej pomocy. Jeżeli na kogoś napadną chuligani, to gapie będą bezczynni. Jeśli ktoś na chodniku nagle zasłabnie, to gapie wtedy udają, że nic nie widzą. Jeżeli w kawiarni paru podochoconych młodzieniaszków — zasługujących na dom poprawcy — wywoła awanturę, to gapie, oblegający sąsiadnie stoliki, nie będą interweniować, ograniczą się do głupkawego komentowania. Obce im jest na ogół to cenne, co się nazywa poczuciem więzi nieformalnej.

A w ogóle — o tym poczuciu, coraz rzadziej występu-



jącym, więzi nieformalnych w naszym społeczeństwie można by wiele, wiele mówić! Ale chyba nie na łamach tak skromnego objętościowo organu, jakim są „Mieszani”!



Aż tylu ludzi! Co się stało? A nie!!! Podobno wezoram w tym miejscu jakiś rowerzysta potrącił, na szczęście, nieszkodliwie — przechodnia...

**POLSKA KOBIETO!** Mniej dbaj o włosy, a więcej o głowę! Na żądanie wysyłamy bezpłatnie katalogi książek, które koniecznie należy przeczytać!!! Wyjątek stanowią kobiety z głową!

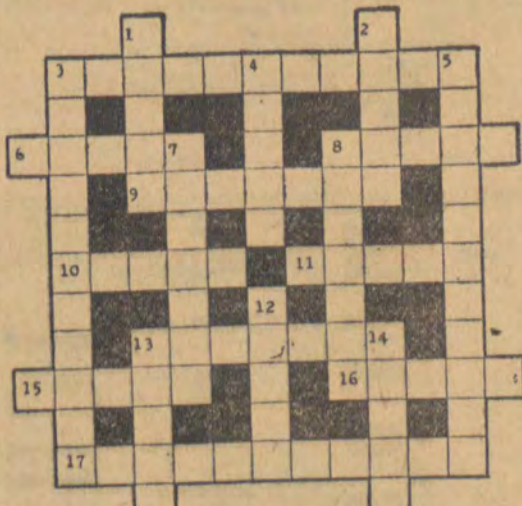
## Zamiast przeglądu prasy MAURYCY HAUKE

„Hauke wslawił się bezinteresownością finansową. Przy kilku swoich funkcjach brał tylko jedną pensję, jako kwatermistrz generalny armii. Inne obowiązki spełniał bezpłatnie, wskutek czego utworzyła się w kasie Komisji Rządowej Wojny znaczna oszczędność, bo aż 1.195.162 złotych polskich. Z inicjatywy generała Haukego zużyto tę sumę na wystawienie nowych budowli wojskowych, w pierwszym rzędzie koszar...”

(Z książki St. Szenica: Królewskie kariery warszawianek).

Redaguje Zespół C Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” C Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 344-72. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia rekwizytów, nie zwraca. C Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Istnieje także PUPIK „Ruch” - Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO - Łódź 1 - 6-579 z oznaczeniem na „Prasa”. Druk „Prasa” - Łódź, Żwirki 11, 2. 2789, VIII. 59 S-3

## NASZA KRZYŻÓWKA



## Znaczenie wyrazów:

**Poziomo** — 3) Roślina ozdobna o dużych skórzastych liściach z licznymi otworami w blaszce, 6) Fragment akcji filmowej rozgrywający się przy tej samej dekoracji, 8) Harcerz, 9) Pakt, układ, 10) Ośrodek kierownicze wszystkich przedmiotów lub stworzenie, 13) Metal używany do stopów drukarskich, 15) Zapoczątkowanie jakiejś działalności, 16) Substancja występująca w herbacie i kawie, 17) Nauka o hodowli zwierząt domowych.

**Pionowo** — 1) Powierzchnia nasypu kolejowego, 2) Droga, 3) Nauczyciel szermierki, 4) Rezultat, wynik, skutek, 5) Stan wzmoczonej wrażliwości układu nerwowego przy jednoczesnym szybkim nucienu się tegoż układu, 7) Człowiek zarozumiały, zuchwały i na-

trętny, 8) Aeroplan, 12) Pług podskibowy do spulchniania gruntu, 13) Gaz szlachetny, 14) Żalobna pieśń krewnych śpiewana podczas obrzędów pogrzebowych.

**Termin nadsyłania rozwiązań 2 tygodnie.**

**Rozwiązanie krzyżówki z nr 25**

**Poziomo** — niedźwiadek, model, puma, agat, cybernetyka, Edek, kawa, Uska, antagonist.

**Pionowo** — niebezpieczna, dama, wydawnictwo, aula, kontrafald, meble, grypa, kupa, kaci.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Zofia Gryglewska, Kraków, ul. Michałowskiego 3 m. 2.  
2. Włodzimierz Szewczyk, Bełchatów, ul. Wolności 5.



# „GRZECH” i kilka grzechów

Ekspozycja dynamiczna, śmiała. Reżyser robi wszystko, by epatować widzów. Robi to nawet całym przyswojcim, właściwie rozbity, gdyż nie kilka ryżkowanych dwuznaczności; np. w scenie spłatanych pod stołem nog, z jednocześnie rozmoową o zapłodnionej kłacz. Subtelne to nie jest. Po-tem, zresztą w ciągu całego filmu płacze się kłopska prymitywnutka symbolika — jakiej kurczaka przed dzieckiem, jakieś prosięta, kłebie...

Nie mam zastrzeżeń do działalności komisji repertuarowej. Ale tak w nawiasie chciałem zaproponować wyodrębnienie pewnych filmów, które by się nadawały do eksploatacji tylko na prowincji. Bo, na Boga, grzech i wstyd pokazywać w dużym, europejskim mieście coś, co się od czasu do czasu nazywa dziełem sztuki, a w omawianym tu wypadku jest naprawdę historyką o porządnej, zowień w ciaw przez niewierne kochanka dziewczynie i do- brym gospodarzu, który się z nią żeni. Historyka z mrośwem i z szceniowym zakończeniem.

„Grzech” Jusosławianina Fran-tika Caca, to film omaru ma no-weli Maupassanta. Próžno by jed-nak widz doszukiwał się w nim poza fabułą czegoś z pierwowzoru. U znakomitego pisarza już do-brych kilkadziesiąt lat temu był dżwans w stosunku do banalnych faktów, była ironia. Reżyser trak-tuje wszystko serio, przeżyłwie serio. Znałomość i świetne opana-wanie warsztatu nie pokrywa jed-nak braku talentu i inteligencji Caca.

Jeszcze o sprawie, która niezadługo doczeka się w „Ogłosach” jubileuszu — o procranie.

Po pierwsze — tak skandalicz-nie nieudolnego steszczenia nie popełniły uczeń 7 klasy, ani na-wet „Wiadomości Filmowe”.

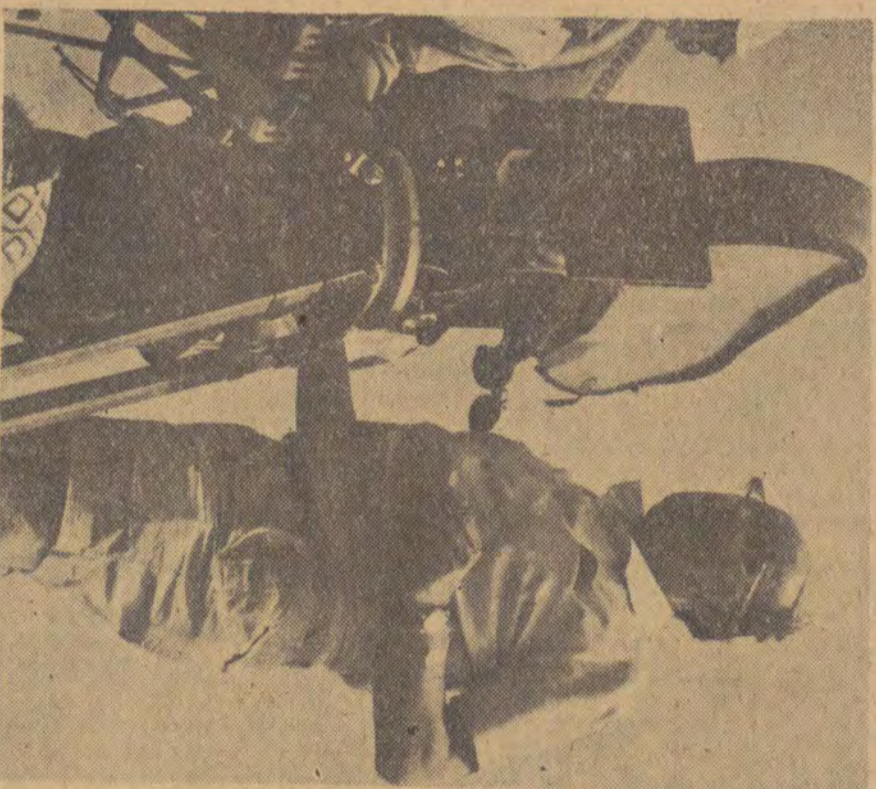
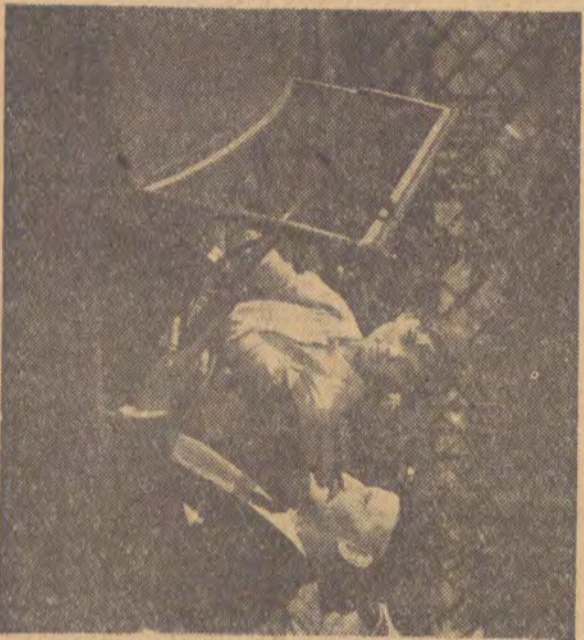
Po drugie — problem pisania tekstów do programów filmowych jest poważny. Ilicza czytelników sięg 15.000. Nie ma co bawić się w byskotliwe i uszczypliwie faie-toniki doładnie wliczające co i w jakim stopniu jest złe. Ten ro-dzaj kolportowania lądety, złego smaku, głupoty, i dopierania tegoż — wymaga natchnietowej inter-wencji.



Zdjęcia: ANDRZEJ NOWICKI



Na ulicy łakowej powstaje nowa komedia filmowa



Reżyser Stanisław Wohl

## ZAKŁAD

Lewy, górny róg kominka w po-koju notariusza Chryzostoma Ka-dryla, pokrywa kasetę z tysiącem talarów w złocie. Dziadek Chry-zostoma, Baltazar, obywatel sto-pomniowski Hipolita Wydecha i lecznego i królewskiego misia: Krakowa, notariusz, był przed wie-ku laty świadkiem niezwykłego za-kladu. Oto dwa kupcy krakowscy, Hipolit Wydech i August Drabka, wiele poszkodowani z łaski zbroj-ców w roku 1859, postaradawszy skóży, które wieźli na sprzedaż ludzkiej odzień, zastanawiają się, czy ich notomkowie po latach się dojrą do Krakowa w trzy dni znaj-dując się w identycznej sytuacji... „Zakład” jest reżyrowany obec-nie w łódzkim atelier przy ul. Ka-kowej. Scenariusz, napisany został przez Edmunda Niziatńskiego i Sta-nisława Wohla, reżyseruje Stanisław Wohl. Pierwsza część filmu, to jak się już rzekło wyżej — część „historyczna”, czyli kostium-owa. Wypełniała ją perypetie obrabowywanych kupców, uwiecznio-

ANDRZEJ DOŁĘGA



JERZY LESSMAN

## ICH wielka miłość

Kochają się, chcą się pokochać. Coż w tym dziwnego? Sytuacja, ja-kich tysiące — wszędzie, na całym świecie. Ale wojna komplikuje najprostszą sprawę. Tworzy dra-maty, niespodziane, okrutne, któ-rym nie jesteśmy w stanie prze-ciwodzić.

Włec wojenny melodramat? Tak, melodramat. Lecz nie ten plasty-cki, pełen nieprawdy. Film re-żyserii Anabola Litvaka ma w so-bie coś z dokumentu. Reżyser, au-tor szeregu kronik wojennych, współrealizator cyklu amerykań-skich krótkometrażówek dok-umentalnych „Dlaczego walczymy”, portrafił oddać grozę wojny. Wy-zwolony Paryż w roku 1944, gdzie rozgrywa się akcja filmu, nie jest miastem takim samym, jakie ogła-damy w innych filmach. Ten we-sół, beztroski skądś nad Paryż, tu jest miastem szarym i smutnym. Zdjęcia robione przy pochmurnym, tętnnym niebie, sceny nocne, pu-sie, zimna ścieła meira — wszyst-ko to stwarza ciężki, przytłaczają-ący nastrój smutku i nerwowo-ści.

Litvak nie operuje jednak tani-mi chwytami ekspresjonistycznymi. Drugi plan filmu, tło, ludzie, wyraźnie wywodzi się z doświadczeń reżyserskich wyświeżonych przy kreowaniu filmów dokumentalnych. Tendencja baletystyczna filmu nie stała się docenioną ani silę teatru. Mimo iż nie oglądany ani pół bli-tewnych, nalołów, nawet ruin i gruzów — z każdej sekwencji technicznie doskonała wojna. Histo-ria miłości amerykańskiego żołnie-rza do francuskiej dziewczyny, za-lamana w pryzmacie wojny stała się niezawinionym przez nikogo niedobrym spotkaniem.

Film zrealizowany z dużą kul-turą, reprezentujący dobre rzemie-sło reżyserskie, ma interesujących odzwierciedleń ról głównych: Dany Robyn i Kika Douglassa.

Zwłaszcza Douglass stwarza cie-kawa sylwetkę amerykańskiego żołnierza, energicznego, trochę szor-sika, zwłaszczą w melodramatycz-nych scenach, które przebiegają tak łatwo przeszarżować.